

Sławomir Sierecki  
MORZE BEZ NOCY

---



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę i stronę tytułową projektował: WIESŁAW RUDZIŃSKI

Redaktor ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

Redaktor techniczny ZOFIA SZYMAŃSKA

Część I  
NA WSCHÓD OD WYSPY NIEDŹWIE-  
DZIEJ

---

# 1.

---

Takie nazwy, jak Murmańsk, Morze Białe, Archangielsk lub półwysep Kola, pojawiły się w rozmowach marynarskich na atlantyckich wachtach pod koniec 1941 roku. Pobrzmiwały wówczas jeszcze często egzotyka, kojarzyły się z jakimiś dawno czytanyymi książkami o wyprawach arktycznych, przypominały dziecięce sny o wielkiej przygodzie, kusiły romantyzmem i złudą krainy oddalonej od obszarów objętych pożogą wojenną. Ale na początku następnego roku wyobraźnia wokół tych nazw zaczęła się konkretyzować, choć wciąż jeszcze wydawały się one oazami spokoju wobec atlantyckich obszarów między Halifaxem a Reykjavikiem, penetrowanych coraz zuchwalej przez hitlerowskie „U-booty”. Już wiadano, że z arktycznymi portami sprzymierzeńców nad Morzem Barentsa i Morzem Białym nawiązano łączność konwojową, że karawany płynące na wschód miały kryptonimem PQ, a wracające stamtąd — QP. Potem w portach zobaczono statki, które tam właśnie miały bazy — z czerwoną banderą na rufie, z marynarzami takimi samymi, jak ci z Halifaxem, Aberdeen, Thurso lub znad brzegów zatoki Moray...

Tak zaczął się nowy rozdział wojny, zatytułowany „konwoje murmańskie”, choć ich szlak wiódł często dalej niż do Murmańska — do Archangielska i Siewierodowinska, a nawet do legendarnych Karskich Wrót...

W portach, gdzie organizowano karawany morskie, można było już wtedy oglądać statki noszące ślady odłamków bomb. Rodzić się zaczęła zła sława przejścia północno-wschodniego, poczynając od Wyspy Niedźwiedziej aż niemal do samych portów przeznaczenia. Szlak konwojów wydłużył się — prowadził teraz od wybrzeży Kanady aż do brzegów Nowej Ziemi, do ujścia Dwiny czy do gardzieli fiordu Kola. Daleka ziemia z dziecięcych czytanek stała się ziemią ognia, bomb i torped.

Wojna wkroczyła do Arktyki...

## 2.

---

Po zejściu z wachty i spożyciu posiłku w mesie Ordon poszedł do kabiny i niemal natychmiast zasnął. Sen nie przyniósł jednak odpoczynku ani odprężenia. Obudził się z niejasnym uczuciem zagrożenia, jakby za chwilę miało zdarzyć się coś strasznego. Był spocony i przez chwilę z trudem łapał w płuca powietrze. Usiadł potem gwałtownie na koi i głęboko odetchnął. Senne koszmary ulotniły się, znów mógł spokojnie oddychać, a przyczyną gorąca okazał się gruby, wełniany sweter, którego nie zdjął po zejściu z wachty do kabiny. Przez zroszony parą bulaj sączyło się mleczne światło dnia. Naprzeciw uśmiechał się pluszowy miś — maskotka kupiona jeszcze w Warszawie przed wybuchem wojny. Zabawna mordka rozśmieszyła go i ostatecznie przegnała złe nastroje. Ileż to już mieli przygód razem z miśsiem, ile razy uciekali z łap kostuchy!... Wstał, zrzucił pulower i podkoszulek, obmył tors i twarz. W lusterku obejrzał policzki i doszedł do wniosku, że z goleniem może jeszcze poczekać. Nagle wydało mu się, że nie słyszy szumu maszyn, podszedł więc blisko do ściany i dotknął policzkiem chropowatości farby, zmieszanej z korkiem. Wyczuł wibrację kadłuba, co upewniło go, że wszystko było w porządku. Płynęli naprzód, mijając zapewne właśnie teraz niewidoczny dla oka próg Morza Barentsa — gdzieś na trawersie mglistego, widmowego konturu samotnej Wyspy Niedźwiedziej. Zresztą być może byli już poza tym umownym progiem, w objęciach autentycznej Arktyki, której bliską obecność sygnalizowały od wczoraj zbite popękane, białe tratwy- paku lodowego i śnieżnej kaszy.

Wytarł ciało ostrym ręcznikiem, włożył świeży podkoszulek i naciągnął gruby pulower. Był w spodniach, wsunął więc tylko jeszcze na nogi krótkie buciki „kariierki” - tak modne wówczas we flocie, a na ramiona narzucił „*duffet coat*” żółty krótki płaszcz z wielbłądziej wełny, zapinany na

pętlice, popularny w tym czasie w całej flocie, podobnie jak .buciki, o miękkiej cholewce. Nałożył czapkę i: zasalutował pluszowemu misiowi.

— Trzymaj się, stary! Trzeba rozejrzeć się, co tam ciekawego na pokładzie!

W korytarzu wibracje maszyn czuło się jeszcze wyraźniej niż w kabine. Polubił ten statek od dnia, gdy zamustrował na jego pokład jako drugi oficer. Straszono, go, że jest to wyrób wojenny i może przy solidniejszej fali rozlecieć się w drzazgi. Odpowiadał wówczas, że Piotr Ordon nie takie już przypadki przeżywał, wychodząc z nich zawsze cało. Ale tak naprawdę nigdy nie udawał bohatera, po prostu miał autentyczne zaufanie do tej łajby, do jej konstrukcji, stalowych wiązań i gorących płuc.

Kiedy schodził z wachty, morze było spokojne, a wiatr ledwie, ledwie zwijał materię biało-czerwonej flagi. Biało-czerwonej duszy statku. Nazwano tę pocziwą, śmierdzącą jeszcze świeżą farbą i smarami łajbę — „Kamerun”. Może w związku z afrykańską wyprawą Szolca-Rogozińskiego w ubiegłym stuleciu, a może po prostu dlatego, że brzmiało to egzotycznie? I oto ów statek o tropikalnej nazwie parł całą mocą swych maszyn naprzeciw lodowym polom Arktyki.

Wyglądało na to, że pogoda jest taka sama, jaką zostawił schodząc z pomostu nawigacyjnego, a może nawet lepsza, choć przez zamglony bulaj nie można było nic dostrzec. Ale trudno było wymagać, aby niebo czarowało błękitem, a słońce grzało, Arktyka zawsze oznaczała mleczne niebo i pokryte siwizną fale.

Wyszedł na górny pokład, wciągając z satysfakcją ostre, wilgotne powietrze. Orzeźwiło go i całkowicie przywróciło rzeczywistości. Powiódł wzrokiem dookoła, aby zorientować się, czy w szyku konwoju nie zaszły jakieś zmiany, i nagle poczuł, że nogi ma jak z ołowiu.

Z lewej burty palił się statek...

Olbrzymi kłęb burego dymu walił pionowym słupem ku górze i dopiero na sporej wysokości rozmazywał się w wilgotnym powietrzu jak kleks atramentu na mokrej kartce papieru. Widoczność była dobra, aż za dobra, tak że inne statki konwoju, nawet oddalone wiele mil, oglądało się jak na starannie wykonanym rysunku. Niebo istotnie takie, kiedy schodził z wachty: lekko zachmurzone, mleczone, ale jasne. Fala długa, pomarszczona, w równej mierze zapowiadająca spokój, jak i — kto wie — może sztorm. Relingi bliżej dziobu były lekko pokryte lodem. Nie znał kaprysów tego akwenu i nie wiedział, co oznaczają takie lub inne zjawiska atmosferyczne w południe i o północy, rano i wieczorem. Zresztą wkrótce miało tu już nie być ani dnia, ani nocy, jedynie mleczone słońce, przeświecające spoza zamglonej kopuły nieba, wznoszące się i opadające nad horyzontem w nie kończącym się kontredansie. Białe noce Arktyki. Podobno ludzie nieprzywykli do tego zjawiska dostają od karuzeli słońca rozstroju nerwowego... Tym jednak, którzy płynęli obecnie w arktycznym konwoju oznaczonym literami szyfru PQ, chyba to nie groziło. Beznadziejność szarego polarnego dnia i monotonię popielatych nocy burzyć im miał ciągły niepokój o własne życie, statków i ich załóg.

Przypomniał sobie uczucie zagrożenia, z którym otworzył oczy w kabine. To było to. Nie usłyszał nawet gongu alarmowego ani eksplozji torpedy. A jednak przeczuł tę eksplozję. Konwój został odkryty! Już pewnie lecą w eter depesze o ilości statków, o sile eskorty i w norweskich fiordach trwa alarm. — „*Feindlicher Geleitzug in Sicht!... Achtung!... Feindlicher Geleitzug in Sicht!... In Richtung Süd-Ost von BärenInseln., Achtung!...*” — lecą w eter depesze hitlerowskich radzików. Z pewnością nadają bez szyfrów, bo co tu nawet szyfrować? Zwołują się jak stado sępów lub wilków. Meldują o ilości statków, o sile eskorty i w odzew tym wezwaniom w norweskich fiordach trwa alarm bojowy. Już może od nabrzeży odbijają okręty podwodne, startują z polowych lotnisk samoloty, wychodzą w morze niszczyciele. Atak z morza i powietrza to przecież specjalność; kombinowanego natarcia na konwój.

Ordon przeżył atak na konwój i wiedział, jak to wygląda, choć był to jedynie atak okrętów podwodnych gdzieś na środku Atlantyku, w słynnej „czarnej dziurze” — jak rejon ten nazywali zarówno Anglicy, jak i Niemcy. Nie wyobrażał sobie, jak wygląda równoczesny atak z powietrza i z głębin. Poczuł, że krtań ma suchą, przełknął więc gwałtownie ślinę. Dwa razy tonął. Wie co to znaczy, gdy nie można przyjąć walki z nieprzyjacielem, gdy cała nadzieja zostaje w przypadku. A potem — gdy ma się dookoła tylko ocean albo gorzej, rozlaną szeroko po oceanie czarną ropę i płomień...

Wyprostował się i odchrząknął. Weź się w garść, Piotruś! — mruknął do siebie. Ostatecznie nie jest jeszcze tak źle. Na piętnaście statków handlowych konwój ma osłonę złożoną z jednego krążownika, trzech niszczycieli i korwety — to nie byle co!

Dawniej bywało, że cały konwój osłaniał jeden krążownik pomocniczy, jak w tym, który bronił „Jervis Bay” — po prostu uzbrojony statek handlowy, a nie żaden autentyczny krążownik... Ordon był w tym konwoju i uszedł cało. Cało — razem ze swym statkiem i pluszowym misiem!!..

— Rzucają chyba teraz stukasy, — powiedział ktoś na dolnym pokładzie.

Ordon podszedł do relingu i wychylił się, spoglądając w dół. Stało tam przy burcie dwóch marynarzy. Nie rozpoznał ich po głosie, zresztą nie znał jeszcze wszystkich nowych, którzy zamustrowali w Loch Eve.

— Chyba nie... — odpowiedział drugi marynarz. — Za daleko. Jeżeli już mają przylecieć, to będą to heinkle albo dorniery. Wiesz, te wielkie, czarne pudła. Atakują najczęściej z wysokiego pułapu. Więcej mają bomb, ale i większy rozrzut. Stukasy byłyby groźniejsze...

Taka zgadywanka nie miała żadnego praktycznego znaczenia, ale wypełniała przynajmniej ciszę. Zresztą rozmowa wskazywała na to, że załoga nie jest młoda i zna smak walki na morzu.



— A łodzie? — spytał ten pierwszy, chyba stary matros, używał bowiem przestarzałej terminologii, nakazującej nawet oceaniczne, podwodne cygara mianować „łódkami podwodnymi”.

— Zaatakują naraz z wszystkich stron, zobaczysz. Oni tak zawsze robią — odpowiedział ten pierwszy.

Musiał już przeżyć coś: takiego. Gdzie? Może u brzegów Francji? Na Atlantyku? Albo w czasie walki o Narwik?

— A nie była to mina, chłopaki? — zapytał z góry Ordon. Poderwali się, zaskoczeni tym pytaniem, i spojrzeli mu w twarz.

— Chyba nie, panie drugi;.. — bąknął jeden z marynarzy.

— Był alarm?

— Nie...

— Może to przypadkowe spotkanie z jakąś zerwaną z kotwicy szwabską miną? Pełno tu ich dryfuje...

Sam W to nie wierzył, ale czuł się zobowiązany rozpędzać wszędzie złe nastroje. Gorzej, że nie było komu rozpędzać tych nastrojów u niego...

Z kadłuba płonącego tankowca waliły tymczasem dalej bure kłęby dymu. „Kamerun” nie mógł iść mu na pomoc, bowiem do akcji ratunkowej przeznaczono w konwoju tylko specjalne statki, podążające w ariergardzie. Obecnie, w pobliżu objętej pożarem jednostki, znajdował się właśnie taki „*rescue ship*”. Był to „Seawolf”. Ordon pamiętał ich nazwy z Reykjavíku, gdzie formowali konwój. Komodor konwoju znajdował się na czele kolumny, na brytyjskim frachtowcu „Pamela”. Był to jakiś stary kapitan, pamiętający jeszcze pierwszą wojnę

światową, takich bowiem najczęściej ..wyznaczano na dowódców karawany. Nie opodal statku komodora płynął krążownik „Halifax” — „*leadership*”; osłony. Uzbrojone; były jednak wszystkie statki konwoju, choć było to uzbrojenie bardzo różnej jakości i obsługiwały je załogi o zróżni-

cowanym- stażu przeszkolenia — od rezerwy marynarki do dwutygodniowego kursu ; artylerzystów.

Właśnie na „Pameli” podniesiono sygnał zmiany kursu, co obowiązywało jednakowo wszystkich w konwoju, prócz osłony, kluczącej po flankach i łowiącej podwodne echa aparaturą swego nasłuchu. Nie: dotyczyło to także „Sacramento” — usiłującego właśnie ratować ludzi z płonącego tankowca.

Statki handlowe szły w trzech szeregach\*, z których każdy liczył po pięć sztuk. Odległość, burtowa wynosiła od jednej jednostki do drugiej po dwieście jardów., Pierwszą linię od drugiej, a drugą od trzeciej) dzieliło czterysta jardów. Gdyby w środek przeniknął jakiś niemiecki U-boot, zostałby niechybnie staranowany. Może więc była to rzeczywiście mina? Ordon zabluffował, ale może odgadł prawidłowo? Tankowce były cztery — szły pozycjach „dwa” i „cztery” w szeregu „B” i „C”, „Kamerun” znajdował się na prawej flance szeregu „B”, na pozycji „pięć” i to właśnie z jego rzędu pochodził płonący tankowiec. Z której strony mógł dostać torpedę, jeżeli była to jednak torpeda? Jak przeniknął do wnętrza konwoju okręt podwodny? A może torpeda przeznaczona była dla innej jednostki? Nie, z pewnością była to mina. Na czele konwoju, poprzedzając jednostkę komodora, płynął wciąż majestatycznie „Halifax”. Dwa niszczyciele kluczyły z lewego i prawego skrzydła. Daleko na horyzoncie, za rufą — sunął zakosami trzeci niszczyciel.

Nawet gołym okiem widać było koło płonącego tankowca szalupę z rozbitkami... Czy pływał tam ktoś jeszcze w wodzie? W tej temperaturze nikt długo nie utrzymuje się przy życiu, nawet gdy okręcony jest pasami ratunkowymi. Jeżeli nie unicestwi go ogień lub woda — zabije go po prostu zimno.

Ordon poczuł chłód w okolicy krzyża i doszedł do wniosku, że dobrze zrobiłaby mu filiżanka kawy. Miał trzydzieści parę lat, romantyczną naturę, ale bardzo nie lubił, gdy kazano mu grać rolę bohatera. Był to jego pierwszy rejs w konwoju podbiegunowym na Wschód.

— Schodzę do kabiny. Zejdiesz także? — pytał marynarz swego kolegę.

— Nie, zaraz moja wachta — padła powiedź. — Ciekawe, co pokazuje barometr. Ta pogoda nie potrwa długo, a o sztormach na Morzu Barentsa nasłuchałem się tyle złego, że chciałbym upewnić się, co będzie nas czekać w nocy. Jak pan sądzi, panie drugi? Co nas czeka? Pogoda czy też?... — to pytanie było skierowane do niego.

— Chyba jednak huśtawka... — odpowiedział Ordon.

Postanowił zejść także pod pokład i to wprost do kuchni, aby napić się tam kawy. Gdy schodził, kadłub zajęczał nagle od eksplozji bomb hydrostatycznych. A więc korweta albo niszczyciele coś tam wytropiły i obecnie sadziły bomby głębinowe, aby odstraszyć podwodnego pirata... Nie było to więc spotkanie z miną...

W kuchni nastroje były dobre, ale marynarze, których spotkał w korytarzu, a nawet steward — nosili kamizelki ratunkowe. A przecież nie ogłoszono alarmu. W innych warunkach można było zrobić awanturę, jednak Ordon zbyt wiele widział dotąd na morzu, aby brać tym ludziom za złe tę ich „profilaktykę”. Mieli prawo bać się. „Kamerun” wiozł tyle materiałów wybuchowych, że jedna dobrze wycelowana bomba mogła urwać pół statku... Był to w dodatku statek zupełnie nowy, nie wypróbowany, z bliżej nie znanymi narowami. Typowy drobnicowiec klasy „Empire”, jeden z tych, które Wielka Brytania wodowała obecnie prawie taśmowo. Zbudowała go stocznia „Gray and Company” w West Hartlepool. Miał coś tam ponad siedem tysięcy BRT i jedną maszynę parową, trzycylindrową, o mocy dwóch i pół tysiąca koni mechanicznych. Ponad pięćdziesięciu ludzi załogi — łącznie z obsługą działa na dziobie i rufie oraz dwóch sprzężonych karabinów maszynowych na śródokręciu. Karabiny maszynowe były nowiutkie, ale działa wymontowane z jakichś wraków. Rufowe niezbyt groźne dla samolotów — celownik był bowiem nieprecyzyjny i zasadnicza funkcja tej pułkawy polegała chyba na działaniu odstraszącym. Statek robił ponad dziewięć węzłów, nie była to więc jednostka zbyt szybka, ale też konwój

nie posuwał się obecnie prędzej niż 6—7 węzłów, z uwagi na konieczność utrzymania wzajemnych odległości i manewrowanie.

— Będziemy mieli huśtawkę? — spytał „kok” Bzowiec, wydając oficerowi kubek aromatycznej i mrocznej jak noc kawy, w której przyrządzaniu był mistrzem.

Ordon zauważył, że kucharz nie ma na sobie kamizelki ratunkowej, jak pomagający mu marynarz, i w duchu wyraził aprobatę dla postawy szefa kuchni.

— Nie znam się na tutejszych warunkach, panie Bzowiec, ale moim zdaniem pogoda taka nie utrzyma się. Już mnie o to pytano i także postawiłem na zmianę.

Znali się jeszcze sprzed wojny. Dwa razy los zetknął ich z sobą na różnych statkach. Bzowiec miał już ponad pięćdziesiątkę, był spokojny, rozważny i znający się na swoim fachu. Dwa rejsy zrobił nawet przed wojną na „Batorym”. Twierdził, że sam zrezygnował, kiedy okazało się, iż w czasie sztormu przyszło na obiad tylko kilku pasażerów. Wymyślne frykasy poszły do morza, na pokarm dla ryb. Wolał więc podobno żeglować na statkach handlowych i karmić wilków morskich, którym nigdy na apetycie nie zbywało. Pływał wiele, dużo przeżył. A jak tam było naprawdę na „Batorym”, nikt nic pewnego nie wiedział. Może winę ponosił charakter kuchacza i jego „niewyparzony pysk”, jak mówiono?... Znał różne akweny żegluggi,

— Zobacz pan, nadejdzie nie tylko wiatr i fala, panie drugi, ale i śnieg — prorokował. — Koniec marca i pierwsza połowa kwietnia na tych wodach nie należą do pięknych. Pływałem kiedyś kilka razy do Norwegii. Możemy wdepnąć jeszcze w taki sztorm, że nie będzie widać ani nieba, ani morza...

— Boi się pan sztormu? — zażartował Ordon.

— Ja? Panie drugi, sztorm to cała nasza nadzieja! Teraz, kiedy szkopy wykryli konwój, ocean może roztańczyć się aż do samego Murmańska. Guzik nam wtedy zrobią. Tylko że...

— Tylko co?

— Nie utrzymamy wtedy konwoju. Jeżeli solidnie dmuchnie, komodor da sygnał „emergency”. Pójdziemy w rozsypkę. Znam się coś na tym...

— Niech się pan nie martwi o konwój. Są inni od tego. Sęk w tym, żeby panu zupy nie powylewało...

Zaśmiali się obaj, ale nieszczerze. Obawy Bzowca były uzasadnione. Statki szły nocą zaciemnioną, obowiązywała cisza w eterze, nie wolno było używać sygnałów dźwiękowych, rakiet, noc nie zwiększała więc bezpieczeństwa. Przy dużej fali było naturalne, że szyk konwoju ulegnie załamaniu. Nawet mogą nastąpić kolizje. Ponadto tak się złożyło, że obaj znali dobrze niedawną katastrofę frachtowca „Wigry”. Po prostu weszli do Reykjavíku, kiedy odbywały się tam pogrzeby ich kolegów. Statek „Wigry” wyszedł w styczniu z Reykjavíku i niemal natychmiast dostał się w straszliwy arktyczny sztorm. Śruba zaczęła trzepotać w powietrzu, nity trzaskały jak pinezki... Gdy opuszczano statek, kapitan Grabiński zdecydował pozostać na pokładzie. Razem z nim to samo postanowił także kucharz. We dwójkę iść rażniej do „skrzyni Dave Jonesa”, jak angielscy marynarze nazywają podwodny cementarz. Z tych, którzy próbowali się ratować, tylko trzech dotarło do brzegów Islandii, a i tak jeden z nich zmarł z wyczerpania, mając już twarde gruntu pod stopami. Chyba mówiąc o arktycznym sztormie, obaj — oficer i kucharz — pomyśleli równocześnie o dramacie pod Reykjavíkiem, ale nie powiedzieli na ten temat ani słowa.

— Daleko mamy do szkopów? — spytał jeszcze Bzowiec.

— Do Norwegii? No, dość daleko.

— Chyba więc nie zaryzykują wypadu?

— Też tak myślę.

Obaj czuli, że optymizm ich był lekko przesadzony. Znajdowali się na północ od Nordkapu, w nożycach operacji niemieckiego lotnictwa dalekiego zasięgu i na obszarze działań zarówno okrętów podwodnych, jak i nawodnych nieprzyjaciela. Pierwszy atak torpedowy okrętu podwodnego mógł być dziełem przypadku, ale mogło to oznaczać także początek zespołowej akcji, tak zwanej „wolf pack” — wilczej nagonki.

Uczuli gwałtowne drżenie kadłuba statku.

— Oho, Anglicy dalej sadzą bomby — mruknął kucharz. — Może coś rzeczywiście wyniuchali? Dobrze, że są tak daleko od nas. Z bliska mogliby nam naprawdę zupę powylewać.

Ordon dopił kawy, odpowiedział jakimś dowcipem i wyszedł na pokład. Współczuł wszystkim, którzy musieli siedzieć we wnętrzu statku. Oczywiście w przypadku trafienia torpedą lub bombą szanse ratunku były dla wszystkich podobnie ograniczone, ale tym pod pokładem mogło się wydawać, że są bardziej zagrożeni.

Pogoda nie zmieniła się. Choć — nie! Właściwie spokój był jeszcze większy niż przedtem, Morze Barentsa witało ich płaską falą i absolutnym sztyłem. Za rufą jakieś rojowisko ptaków, które miały zapewne swe leża na Wyspie Niedźwiedziej. Ptaki polatywały opętańczymi spiralami, przypominającymi chwilami Ordonowi lot jaskółek przed burzą. Właśnie, przed burzą... Było dość ciepło jak na te szerokości geograficzne i na tę porę roku. Oblodzenie burt — niewielkie... Morze zaczynało dymić parą. Tworzyło to siwy welon nad powierzchnią, w którym — jak w puchu — niknęły cielska statków i okrętów wojennych.

Płonący tankowiec został daleko za rufą i nie zapowiadało się na jego rychły koniec. Nie było już przy nim statku panamskiego ani korwety i Ordon pomyślał, że niedługo jeden z niszczycieli eskorty wpakuje w burtę wraka miłosierną torpedę, aby kadłub płonącego statku nie stanowił niebezpieczeństwa dla żeglugi, a pióropusz dymu nie był wskazówką, gdzie odnaleźć konwój.

To dziwne, medytował. Niemcy powinni już tu być. Chyba że ich służba hydrometeorologiczna nadała im właśnie ostrzeżenie sztormowe.

Przed pójściem do kabiny wstąpił jeszcze na mostek. Tkwił tam już trzeci oficer, Hermanowicz, ponurak i panikarz.

— Jest tak, jak przypuszczałem — powiedział Hermanowicz. — Z komodora zasygnalizowali nam aldisem o zmianie pogody i możliwości spotkania lodu.

— No, kaszę lodową mamy już przy burcie...

— Powiedzieli wyraźnie o lodzie. Szkopy mają pewnie również te informacje i dlatego nie wychodzą w morze.

— A ten okręt podwodny, który rozpruł nasz tankowiec?

— Może wracał z patrolu i wystrzelił ostatnią torpedę? Zresztą Anglicy rzucili tyle bomb, że prawdopodobnie zwiął. Albo przyczał się gdzieś w głębinach i nasłuchuje, czy już przeszliśmy...

— Byłem w konwoju, który został zaatakowany właśnie w czasie sztormu.

— Na Morzu Barentsa?

— Nie, na północnym Atlantyku. Czy nie ogłaszano alarmu po tym ataku torpedowym? Spałem i nic nie słyszałem...

— Alarmu nie było. Chyba nikt nie był pewny, czy to torpeda, czy mina. Potem niszczyciele musiały coś wykryć, no i zaczęła się macanka pod wodą bombami głębinowymi...

Usłyszeli daleki głuchy huk, potem drugi i trzeci. Ordon przeszedł na skrzydło pomostu. Jeden z niszczycieli zadał właśnie płonącemu tankowcowi ostatni, miłosierny cios... Taki był los wszystkich „struggle-rów” — jak nazywano ciężko uszkodzone statki. Torpedy wystrzelone z niszczyciela rozerwały statek na dwie części. Poszedł na dno błyskawicznie. W miej-

scu, gdzie jeszcze nie tak dawno płynął, unosiła się wciąż chmura burego dymu, powoli znoszona przez lekki wiatr.

— Stary przychodził na mostek? — spytał Ordon.

— Za mojej wachty nie. Może śpi? Musi się przecież kiedyś wysypiać...

— Będziemy mieli ciężką noc.

— Tak mi się też wydaje — przytaknął Hermanowicz. — Nawet barometr zaczyna tańczyć. Stary to chyba wyczuwa i zejdzie pod wieczór na mostek. Znam go.

### 3.

---

Na pół godziny przed objęciem wachty do kabiny Ordon zajął pierwszy mechanik Janota. Spotykali się dotąd tylko przypadkowo albo w czasie posiłków w mesie oficerskiej, ale czuli do siebie wzajemną sympatię, prawdę mówiąc niczym w gruncie rzeczy nie uzasadnioną. Ot, taki pociąg; koleżeński, który w szkole i na uczelni warunkuje zawieranie dozgonnych przyjaźni, i kompozycje różnych grup i paczek. Janota był znacznie starszy od Ordon, o krańcowo różnym usposobieniu, jak można było wnioskować z krótkich przelotnych spotkań na statku i niewielu wymienionych: zdań w mesie. Zamustrował na statek w Loch Eve i choć praktykę miał bogatą, Ordon przypuszczał, że jest to również jego pierwszy drobnicowiec klasy „Empire11. No i reprezentował zupełnie inną dziedzinę pracy na statku, często traktowaną przez nawigatorów z pogardą. Zdaje się jednak, że wojna ostatecznie przekreśliła tę niemądrą rywalizację z czasów, gdy statki chodziły; pod żaglami, a silnik służył tylko do pomocy. Rywalizację między załogą pokładową i „smoluchami, z głębi statku. Gdy. raz; na zawsze zniknąć zaczęły z pokładów smukłe maszty z białymi żaglami, a los



statku zależał w równej mierze od tych, którzy pilnowali ciśnienia na manometrach, różnice przestały mieć sens. Została jednak oczywista duma zawodowa z jej wszystkimi tajnikami. Inaczej mówił więc o sztormie ktoś z maszynowni, a inaczej ktoś z pokładu, tak jak i obraz bitwy wyglądał w obu sytuacjach krańcowo różnie.

— Przeszkadzam panu? — spytał Janota.

— Nie, skąd! Bardzo proszę. Mam jeszcze dwa kwadransy do wachty i położyłem się na chwilę, bo nic mi się innego nie chce robić.

Ordon wstał z koi i podał przybyłemu paczkę z papierosami. Zapalili i usiedli.

— Prawdę mówiąc, nie mam nic szczególnego do powiedzenia — odezwał się mechanik. — Żadnej konkretnej sprawy.

— Pytał mnie pan jednak dziś, czy będę miał chwilę czasu.

— No właśnie... Istotnie, pytałem. A w gruncie rzeczy chodziło mi po prostu o to, żeby z kimś porozmawiać. Zna pan chyba taki nastrój...

— Gryzie pana ten rejs?

— Nie po raz pierwszy jestem w konwoju. Wiem, kiedy eksplodują bomby hydrostatyczne, bo mamy paskudne echo wybuchów w maszynowni. Czujemy dobrze sztorm i to nie tylko w żołądkach. Kto wie, czy nie gorzej niż wy, na mostku. Nie, taki rejs w konwoju to dla mnie nie pierwszyzna. To nie rejs mnie gryzie...

— Więc jednak jest coś, co pana niepokoi?

— Nie można tego nazwać niepokojem. Ot, po prostu chciałem, jeśli można, poprosić pana o zwykłą koleżeńską radę.

— Chciał pan usłyszeć taką radę ode mnie?

— Co w tym dziwnego? Pływa pan od

dawna, na statkach jest pan od początku wojny...

Zaciągnął się dymem, aż zakaszłał. Potem gwałtownym ruchem zdusił papieros w popielniczce.

— Niemądrze trochę gadam, prawda?

Ordon wzruszył ramionami.

— Nikt nie ma patentu na mądrość. Gdy zobaczyłem dziś ten płonący tankowiec, także miałem niemądrą minę, a później gadałem same głupstwa. Usiłowałem wszystkim wmówić, że była to mina, a nie torpeda.

— Jutro zobaczymy samoloty albo nasza osłona usłyszy szum podwodnej śmierci. Znów będą grzmieć bomby głębinowe... Ale nie to sprowadza mnie do pana. Ostatecznie można się z taką sytuacją pogodzić i jakoś żyć.

— Az czym nie można się pogodzić? — Ordon spróbował przedłużyć wypowiedź tamtego, aby wreszcie sprowokować go do wyznań. Nie mieli zbyt wiele czasu, aby tę grę w ciuciubabkę przedłużać w nieskończoność. Minuty bieły, a przecież niezadługo musiał wejść na pomost nawigacyjny.

Janota chwilę milczał, aż wreszcie wypalił:

— Miał pan jakąś wiadomość z kraju? Słyszałem, że zostawił pan tam żonę i różnymi sposobami próbował nawiązać łączność.

A więc to był ten problem! Ordon skinął głową, jakby dopiero teraz zaczął pojmować, dlaczego mechanikowi tak trudno było wypowiedzieć, o co mu naprawdę chodziło.

— Opuściłem żonę w miesiąc po ślubie. Po prostu zakończyłem miesiąc miodowy i musiałem iść na morze. Wojna wybuchła, gdy byłem daleko od Gdyni. Rzecz oczywista, że szukałem kontaktu z domem. Próbowałem tego chyba od momentu, gdy nadeszła wiadomość o napadzie na Polskę. Od pierwszego września...

— I co?

Podniósł głowę i popatrzył w oczy mechanikowi.

— I nic...

— Nic?

— Zupełnie nic. Wysyłałem listy na adres gdyński, gdzie zamieszkaliśmy, i na adres warszawski. Pisałem do mojej rodziny i do jej rodziny. Pisałem do przyjaciół i znajomych. Oczywiście posługiwałem się najróżniejszymi sposobami łączności, poczynając od najbardziej oficjalnej, przez Czerwony Krzyż, a kończąc na kanałach niemal szpiegowskich, przez Genewę, Madryt, Lizbonę... Nie wiem, co o tym myśleć. Słyszałem, że z Gdyni wiele tysięcy Polaków wysiedlono, ale wówczas moja żona znalazłaby się w Warszawie. W każdym razie tak przypuszczam. Przyjmijmy, że dom, w którym mieszkali jej rodzice w Warszawie, przestał istnieć podczas oblężenia w trzydziestym dziewiątym. No ale są jeszcze jacyś krewni, jacyś znajomi, do których jeden z tych listów powinien dotrzeć. Czemu pan o to pyta?

— Mam podobną sytuację. Podobną, ale równocześnie inną. Powiedziałbym, nieco gorszą. Otóż ja otrzymałem wiadomość z Polski. Bardzo okreśną drogą, ale jednak otrzymałem. Niech pan sobie wyobrazi, że do mojej żony nie dotarł żaden mój list, natomiast dotarła czyjaś informacja, że ja już nie żyję. Miałem zginąć w czasie walk o Narwik. Nie wiem, co za idiota to wymyślił. Ale wiadomość poszła w świat...

— Niemożliwe!

— Niestety... W dodatku nie mam adresu mojej żony. Mieszkała w Poznaniu, została wysiedlona wraz z rodziną gdzieś w rejon Lublina. Nie miałem ze sobą adresów rodziny bliższej ani dalszej, tylko jej adres poznański. Inne odtwarzałem z pamięci, ale chyba niedokładnie. Poza tym są to przeważnie również tereny, z których hitlerowcy wysiedlają wciąż Polaków,

czy więc choć jeden z moich listów dotarł do kogoś z moich bliskich? Nie wiem.

— Kiedy... Kiedy miał pan rzekomo zginąć?

— Mówiłem panu, że pod Narwikiem, a więc w czterdziestym. Poszedłem na dno razem ze statkiem, jeżeli chce pan wiedzieć

dokładnie. Zginąłem na „Chrobrym”. Myślałem, że ma pan jakieś wypróbowane kanały łączności z krajem, chciałem więc z nich skorzystać. Słyszałem, że wysyłał pan listy do Polski. Oto powód, dla którego niepokoję pana. Może jeszcze jest pora, aby tę moją śmierć odwołać... Bo jeżeli nie uczynię tego teraz, nie wiem, co może się zdarzyć. Przecież może zaistnieć taki fakt, że kiedy powrócę, znajdę u boku mojej żony innego męża. Może gadam głupstwa, niech pan mi jednak to wybaczy. Ja mam prawo gadać głupstwa, w mojej sytuacji...

Uczynił gest, który wyrażał rozpacz, a który chyba powtarzał nie po raz pierwszy wobec kogoś, komu zwierzał się ze swych trosk, następnie wydobył z kieszeni portfel. Wyciągnął z wnętrza fotografię, naznaczoną śladami licznych złamań. Ordon znał takie sytuacje i nie lubił ich. Nigdy nie był pewny, czy nie popełni jakiegoś nietaktu, jakiejś niezręczności. Co ma powiedzieć, oglądając cudze zdjęcia? Zachwycać się? Współczuć? Kręcić głową? Na zdjęciu stała szczupła kobieta o niezbyt wyraźnie widocznej twarzy, a obok chłopiec w mundurku gimnazjalnym, zapewne syn. Była to migawkowa fotografia, zrobiona gdzieś na ulicy, być może właśnie w Poznaniu. Ani o wieku kobiety, ani o jej urodzie nie można było nic wnioskować. Zresztą — jakkolwiek współczuł mechanikowi — Ordon to zupełnie nie obchodziło. Oglądał już setki takich zdjęć. Zwrócił fotografię Janocie bez słowa.

— Nie mogę zrewanżować się panu i pokazać zdjęcia mojej żony, ponieważ takiego nie posiadam — powiedział i natychmiast pomyślał, że zabrzmiało to niegrzecznie.

— Nie wziął pan w rejs żadnego zdjęcia żony?

— Cały album, panie Janota, ale nie zostało mi nic. Przepadły...<sup>21</sup> Zna pan takie sytuacje na morzu, kiedy traci się wszystko? W snach żona ma często twarz aktorek filmowych, z filmów, które oglądałem w różnych portach.

— Zaciera się w pana wyobraźni jej wizerunek? — spytał z niedowierzaniem mechanik.

— Mogę pana zapewnić, że była to moja pierwsza wielka miłość. Nie wiem, co będzie z tą miłością, gdy wojna potrwa dłużej. Myśli pan, że ona pamięta moją twarz, jeżeli żyje? Przed ślubem spotkaliśmy się zaledwie kilka razy. To było takie młodzińcze szaleństwo. Trochę miał w tym udział urok mojego marynarskiego munduru... Myśli pan, że będzie na mnie czekać? Może tak, ale może i nie. Jeżeli minie jeszcze jeden rok, a może i dwa... Mam żyć nadzieją? Nie oszukujmy się, panie Janota... Kto wie zresztą, gdzie się znajduje i dlaczego milczy. Kto wie, dlaczego milczą ci wszyscy, do których pisałem? Może prawda jest straszniejsza?

— Trzeba mieć nadzieję... — zaczął mówić mechanik, ale raptownie przerwał i spojrzał bystro w twarz Ordona. — Jestem śmieszny, prawda?

Drugi oficer wzruszył ramionami. Rozmowa wydawała mu się już bezprzedmiotowa, bezsensowna.

— Jedyna pamiątka z mojego małżeństwa to ten oto pluszowy miś — wskazał na lalkę, zawieszoną nad koją. — „Bohaterski Miś”... Wie pan, była kiedyś taka bajeczka dla dzieci o niezwykłych przygodach pluszowego niedźwiadka w czasie pierwszej wojny. Kiedy braliśmy ślub, ludzie mówili znów dużo o wojnie i moja żona dla żartu ofiarowała mi tę maskotkę, mówiąc, że być może ten miś okaże się równie bohaterski jak tamten z bajki. No i jak dotąd, sprawdziło się...

Mechanik chyba nie słuchał. Siedział wpatrzony w kąt kabiny i kiwał głową, jakby potakiwał machinalnie wszystkiemu, o czym opowiadał drugi oficer. No cóż, dwaj ludzie ze swoimi własnymi tragediami, rozumiejący, że ból jest niepodzielny. Czyjeś współczucie nie może go osłabić.

Ordon spojrzał na zegarek i przeprosił kolegę. Za pięć minut zaczynała się jego wachta. Tamten powiedział jeszcze jakieś zdawkowe, grzecznościowe zdanie i wyszedł z kabiny.

Właśnie wtedy Ordon uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu odczuwa lekkie kołysanie. Czyżby nadleciał wreszcie wiatr? Była to jedyna nadzieja na wyjście z mleka, w które pogrążył się konwój po południu. Co teraz mogło być gorsze — mgła czy sztorm? Gdyby go o to zapytano, nie potrafiłby udzielić odpowiedzi.

Zasalutował misiowi, jak czynił to zawsze wychodząc z kabiny, i wkroczył na korytarz. Na górze sytuację zastał zmienioną. Mgły rzeczywiście już nie było. Konwój szedł idealnie zaciemniony, ale oko rozpoznawało w mroku czarne cielska statków. Noc była dość jasna, choć niebo nie zademonstrowało polarnych konstelacji. Wiał wiatr. Jeszcze nie sztormowy, ale nie zapowiadający nic dobrego. Nadal wolno było używać radia wyłącznie dla nasłuchu; wszelkie rozmowy w eterze były zabronione.

Odebrał wachtę od pierwszego oficera Mieszkowskiego, korpulentnego, czerwonego na twarzy choleryka o byczym karku.

Ordon obejrzał mapę, na której wykreślono marszrutę i pozycję statku, sprawdził kurs, a następnie wachtowych na oku i na obu burtach. Wszystkie posterunki wytrzeszczały oczy, aby dojrzeć cokolwiek na morzu. Marynarz na prawej burcie zameldował, że widział niedawno patrolujący brytyjski niszczyciel. W jaki sposób rozpoznał, że był to niszczyciel i w dodatku brytyjski?

Fala rosła i jej bryzgi leciały już na pokład. Dziób tonął w bieli lodu i Ordon pomyślał, że jutro będzie trzeba polecić marynarzom odkucie z lodowej skorupy działa na dziobowej platformie.

W godzinę później rozbłysły na chwilę światła w konwoju i rozmigotały się sygnałem „emergency” — „stan wyjątkowy”, pozwalającym statkom na wybranie takiego kursu, jaki kapitan jednostki uważał za właściwy. Było to równoznaczne z rozproszeniem konwoju, ale w gruncie rzeczy potwierdzało tylko rzeczywistą sytuację — konwój już szedł w rozsypkę. Barometr spadał na łeb, na szyję. Wiała siódemka, a może i ósemka. Na całym obszarze Morza Barentsa rozszalał się jeden z tych strasznych arktycznych

sztormów, o których cuda opowiadali marynarze, wracający z rejsów do Murmańska. W gruncie rzeczy — rozumował drugi oficer — sztorm zawsze jest tylko sztormem i może wykończyć statek pod każdą szerokością geograficzną. Ale mimo wszystko nastrój na „Kamerunie” nie był tym normalnym nastrojem sztormowej walki. A może to on, Ordon, tak to odbierał po rozmowie z pierwszym mechanikiem?

Dziób statku piał się w górę, aby następnie spadać w przepaść między falami. Biała kipiela mieszała się już ze śniegiem i kawałkami potrzaskanych tafli lodowych. W tych warunkach niemożliwe było utrzymanie szyku konwojowego.

## 4.

---

Nad ranem wiatr osłabł, ale morze było potężnie sfalowane i utrudniało poruszanie się statków według ustalonego kursu. Konwój zresztą praktycznie nie istniał — zburzony został wszelki porządek, a opodal komodora była tylko część jednostek. Nadal obowiązywała cisza w eterze. Nie można więc ponownie zebrać statków i sformować kolumny, nawet gdyby musiała ona przybrać inny układ. Na mostkach trzaskały aldisy, którymi poszczególni dowódcy próbowali przekazać sobie wiadomości.

Statek komodora „Pamela” znajdował się wciąż jeszcze nie opodal krążownika „Halifax”, ale w polu widzenia miał tylko cztery transportowce i jeden tankowiec oraz dwa niszczyciele eskorty. Potem spoza horyzontu wynurzył się trzeci niszczyciel, a za nim drugi tankowiec.

Wciąż jeszcze brakowało kontaktu z jednym tankowcem i sześcioma drobnicowcami, załadowanymi po kominy sprzętem wojennym. Nie meldowała się także korweta „Seawolf”. Po godzinie zauważono jeszcze jeden statek. Był to brytyjski parowiec „Lady Jane”. Nadał aldisem do komodora, że ma na pokładzie rozbitków ze statku panamskiego „Sacramentor”, który



w czasie nocnego sztormu poszedł na dno... Koło południa do konwoju dołączył radziecki transportowiec „Magnitogorsk”. Na koniec pojawiła się również korweta.

Ale o losach „Kamerunu”, jak również dwóch dalszych statków — amerykańskiego „Jamestown” i brytyjskiego „Isle of Man” — kierownictwo konwoju wciąż nic nie wiedziało.

A tymczasem wszystkie trzy wyszły ze sztormu w stanie opłakanym i wlokły się w ogonie karawany jak maruderzy, wypatrujący tylko śladu dymów obozowisk. Metafora chyba jest tu jak najbardziej trafna, bowiem szkła potężnych lornetek, łącznie z kapitańską, przeszukiwały horyzont w nadziei znalezienia najlżejszego śladu dymu. Chadzały bowiem jeszcze wtedy na morskich gościńcach drobnicowe trampy, wyrzucające z kominów kłęby burego dymu, jakich nie powstydzilby się Wezuwiusz. Takie dymiące łajby stanowiły zakałę konwoju — sygnalizowały bowiem już z daleka nieprzyjacielowi obecność konwoju. Ale też dym umożliwił odnalezienie statków po rozproszeniu. Tym sposobem właśnie zeszyły się w końcu razem polski „Kamerun” i brytyjski usmolony tramp „Isle of Man” — właśnie jeden z tych pływających wulkanów. Potem przypadek działał, że napotkali elegancki, czyściutki amerykański motorowiec „Jamestown”, któremu jednak sztorm zmiotł z dziobowych luków nie tylko umocowane tam pojazdy, ale oczyścił także przedni pokład z wszystkiego, co na nim było.

„Kamerun” także doznał kilku awarii, z których najdotkliwsza okazała się dziobowa — fale zmiotły platformę artyleryjską z działem i rzuciły ją następnie na sprzęt załadowany na pokładzie. Trzeba było pod lodowatym prysznicem arktycznego morza rąbać liny. Za burtę poszły, razem z działem, dwa jeepy „zaparkowane” na przednim luku. Przy okazji stracono dziobowe windy towarowe i część nadburcia, ale cudem ocalały pokrywy luku i pokład...

Porozumieli się nawzajem aldisem, ustalili szybkość pochodu i kierunek. Radio na każdym z nich milczało, a ponieważ nie słyszeli również na-

dajników innych jednostek konwoju, mogli przypuszczać, że wszystko przebiega jak dotąd.

Około godziny dziesiątej, kiedy siła wiatru raptownie spadła, chociaż morze było wciąż jeszcze solidnie rozkołysane, usłyszano w trójkomuniku maruderów dalekie mruzcando samolotu. Słysząc je było dobre piętnaście minut — raz wzrastające, a raz słabnące. Potem zamilkło na pół godziny i znów powróciło.

Na statkach zarządzono alarm i zespoły artylerzystów zajęły pozycje przy działach. Na „Kamerunie” było już teraz tylko jedno działo — rufowe, w dodatku właśnie to, co do którego panowała ogólna opinia, że nie trafia w cel, ale „Panu Bogu w okno...” Stało ono na owalnej platformie, miało osłonę ze stalowej blachy. Wyglądało groźnie, ale wiadomo było, że blachę przedpiersia przebijał nawet pocisk karabinowy, jeżeli został wystrzelony pod odpowiednim kątem. Marynarze z obsługi założyli wełniane kominiarki na głowy, aby uchronić się przed odmrożeniami. Talerzowe hełmy na kominiarkach nadawały im wygląd groteskowy — coś jakby skrzyżowanie Don Kichota z kłownem... Obsadzono także dwa stanowiska karabinów maszynowych. Teraz już wszyscy, nawet najodważniejsi, nałożyli kamizelki korkowe. Ze śmierci się nie żartuje. A w dodatku była blisko. Krążyła rzeczywiście gdzieś tam, pod mlecznym nieboskłonem. Nie mógł to być bowiem żaden inny samolot, tylko niemiecki. Do rejonu osłony radzieckiego lotnictwa było jeszcze daleko. Zresztą w Murmańsku, ze względu na ciszę obowiązującą w eterze w czasie konwoju, nie wiadano, gdzie znajduje się aliancka karawana statków.

Dochodziła dwunasta w południe, gdy echo przyniosło serię potężnych grzmotów. Znów szkła lornetek omiotły horyzont, ale dymów nie zauważono. Wiatr tymczasem wzmógł się do piątki, morze było niespokojne, złowrogie, a chmury zwisły tak nisko, że wydawało się, jakby szczyty masztów za chwilę miały ugodzić te ołowiane brzuchacze. Zaczął padać śnieg i widoczność spadła do minimum.

Gdzieś za horyzontem toczył się bój. Słysząc było grzmoty o różnych natężeniach, jak solo na instrumencie perkusyjnym. Ci, którzy nieraz już znajdowali się w podobnych opałach, próbowali zgadywać, jaki kaliber dział lub bomb daje takie echo, ale był to oczywisty bluff.

Nagle radio przemówiło. Na trzech samotnych transportowcach odebrano depesze skierowane do Murmańska, informujące o napadzie zespołu niemieckich okrętów podwodnych na konwój PQ. Podawano pozycje i szczegóły, które można było obecnie nadać tekstem otwartym, skoro miejsce to znał już nieprzyjaciel. Reszta z pewnością zostanie nadana później szyfrem i znajdzie się w tym zaszyfrowanym tekście wiadomość o utraceniu kontaktu z trzema transportowcami — polskim „Kamerunem”, brytyjskim „Isle of Man” i amerykańskim „Jamestown”, pomyśleli operatorzy radio na trzech maruderach.

Trzej kapitanowie tych jednostek postanowili jednak tak długo nie korzystać z radia, póki nie zobaczą konwoju.

Okolo pierwszej dalekie wybuchy zamilkły, ale horyzont pozostawał pusty. Na statkach odwołano alarm bojowy. Jaki dramat rozegrał się tam w tej ośniezonej, mrocznej dali, nikt na trzech statkach nie próbował nawet odgadnąć. Jak wynikało z odebranej rozmowy z Murmańskiem, pozycja konwoju była bardziej na NNE niż trójkomunik maruderów. Gdyby utrzymać teraz kurs E, a potem przejść na SE — można by było napotkać konwój już w nocy. Albo też... w nocy rozminąć się z konwojem. Gdyby konwój dalej utrzymał swój kurs, albo nawet przeszedł na E — trzech maruderów miało szansę przybyć przed konwojem do Murmańska. Zachodziła jeszcze czwarta możliwość — kolizji z konwojem. Ustalono, że w nocy należy co godzinę porozumiewać się specjalnym, przycięmnionym migaczem. Chodziło o to, żeby się wzajemnie nie zgubić. Jak dotąd nie zostali przecież wciąż jeszcze odkryci przez nieprzyjaciela.

Okolo godziny trzeciej po południu usłyszeli znów brzęczenie silnika. Wskutek porywów wiatru mruczando z nieba dolatywało raz bezpośrednio, a raz odbitym echem, raz głośniej, a raz ciszej. Nie można było rozróżnić

ani jak daleko jest samolot, ani z którego kierunku dobiega warkot motoru. Znowż zarządzono alarm, a obsługi dział i karabinów maszynowych zajęły pozycje.

Nagle tuż nad statkami wystrzelił z chmur czarny, wielki kształt. Dostrzeżono krzyże na skrzydłach, a huk silnika był tak potężny, że wszystkich niemal ogłuszył. Rozpoznali go... Był to czterosilnikowy focke- -wulf 200 „Condor”, używany głównie jako samolot dalekiego rozpoznania, choć często także niósł bomby. W pierwszej chwili załogi były tak zaskoczone, że zanim oddano pierwsze strzały, nieprzyjacielska maszyna znajdowała się już w odległości stu, a może i dwustu metrów za statkami, w dodatku lecąc na bardzo niskim pułapie. Lotnicy hitlerowscy byli chyba tak samo dezorientowani, jak załoga statków, spotkali bowiem coś, czego się zupełnie nie spodziewali — trzy jednostki handlowe bez żadnej eskorty. A jeżeli już oglądali przedtem konwój, musiało ich zaskoczyć, że jednostki płyną zupełnie niezrozumiałym dla Niemców kursem, innym niż kurs głównej karawany.

Z pokładów widać było wyraźnie, że lotnik będzie jeszcze raz próbował przelecieć nad zespołem, aby przyjrzeć mu się dokładnie. Maszyna kładła się na lewe skrzydło powoli robiła ogromny łuk, aby, jak się wydawało artylerzystom, nadlecieć na zupełnie niskim pułapie pod wiatr. Przez dziesiątki mózgów przemknęło pytanie — zaatakuje bombami, torpedą, ogniem kaemów czy po prostu będzie chciał tylko przyjrzeć się trzem osamotnionym jednostkom?

W czasie wykonywania wirażu samolot stał się widoczny na tle pojaśniałego w tym momencie nieba jak ogromny, czarny krzyż. Potem pilot wyrównał lot, by nadlecieć wprost nad trzy statki. Wtedy zaczęły pruć pociskami wszystkie boforsy i hotchkissy, wszystkie działka, a z amerykańskiego motorowca zaszczekały pompomy, o których obecności nikt nie wiedział. Nie było tego mimo wszystko wiele, bo amerykańsin miał także zdmuchnięte przez sztorm dziobowe działo 120 mm. Waliły więc trzy działka, ze sześć sprzężonych podwójnie kaemów amerykańskie pompomy.

Ale takiego ognia Niemcy się nie spodziewali. Samolot dostał w sam pysk lawinę stali. Sprzymierzeńcem było mu tylko morze, które kolebało statkami potężnie, a obsługa dział czuła się, jakby swoje zadania wykonywała na huśtawce.

Ryk czterech silników spotęźniał, a kadłub urósł w oczach do rozmiarów latającego jaszczura. Nie znajdował się obecnie wyżej niż na pułapie jakichś trzydziestu metrów, zapewne licząc, że uniemożliwi to obsłudze dział i kaemów prowadzenie ognia. Popęłnił jednak błąd. Zamiast polecieć obok — przeleciał bezpośrednio nad gniazdami kaemów „Kamerunu”, a następnie pompomami „Jamestown”. Niemożliwe było w tych warunkach nie trafić, choć niewątpliwie ogień prowadzony był nerwowo

chaotycznie.

Huk silników zmalął nagle i ścichł. Z odlatującego samolotu odpadła jakaś część, potem buchnął z kadłuba dym, który zakrył cały kontur czterosilnikowca. Nic już nie było widać ani słyszeć. Został tylko kłęb dymu sięgający od morza do pułapu chmur. Nikt z załogi nie widział, co stało się z samolotem, nikt nie mógł dać słowa honoru, że obserwował, jak maszyna spada w lodowatą kipieli Morza Barentsa. Było to tak zaskakujące, że minęła chyba minuta, zanim na pokładach zerwały się głośnie „hura”. Nadano sobie wzajemnie — ze statku na statek — gratulacje.

W pół godziny później znów usłyszano w chmurach odgłos silników. Niektórzy zastanowili się, czy rzeczywiście byli świadkami śmierci „Condora”, czy może omamiły ich chmury, dym i siekące deszczem ze śniegiem arktyczne szkwały? Ale chyba nie, obecnie słyszalny warkot był jęśliwy, ciężki, zwielokrotniony. Gdzieś w tę burzliwą pogodę leciały przez mglisty pułap chmur eskadry bombowców, szukając rzeczywistego jądra konwoju. Znów wysłuchano bębnienia artylerii, ale pogoda pogorszyła się i widoczność zmalęła. Być może w obliczeniach hitlerowskich meteorologów zasła jakaś omyłka, skoro wypuścili eskadry bombowców na poszukiwanie konwoju przy podobnej sztormowej dujawicy.

Pogłos grzmotów dość prędko umilkł.

O wpół do szóstej po południu, a według zapisu w dzienniku pokładowym „Kamerunu” o 17.32, wyłowiono tratwę, na której znajdowało się dwóch ludzi w żółtych kapokach. Byli zdrętwiali z zimna, nieprzytomni. Dawno by ich zmyło, gdyby nie przywiązali się linami.

— To jest właśnie Arktyka — powiedział ponuro trzeci oficer Hermanowicz, gdy taszczyli dwa zeszywniałe ciała do izolatki lazaretu. — Możesz mieć, bracie, pięć kamizelek korkowych, ale to cię nie uratuje. Zimno... oto, co zabija tutaj!

— No, tych na szwabskim samolocie nie zabiło zimno, tylko nasze pociski — odezwał się wtedy obecny przy całej scenie bosman Wiżajnas. — I trzeba przyznać, że kule zabijają pewniej niż mróz. U nas na Suwalszczyźnie, panie trzeci, to jeszcze przy dwudziestostopniowym mrozie ludzie się kąpią, ot co!

Rozładowało to trochę atmosferę grozy, ale marynarze zdążyli zauważyć nazwę statku na tratwie. Brzmiała ona „Pamela”. A „Pamela” to był statek komodora konwoju.

## 5.

---

Kiedy Ordon zajrzał do kabiny Hermanowicza, aby oddać mu znalezioną na pomoście nawigacyjnym zapalniczkę z jego inicjałami, zastał trzeciego oficera pochylonego nad stolikiem i piszącego list. Był to widok dość niezwykły, ponieważ w Murmańsku była tylko poczta połowa, a i ta w obecnych warunkach chodziła labiryntem wojennych dróg. Hermanowicz podziękował za przyniesienie zguby, zaprosił Ordona na chwilę na fotel i nalał dwie szkockie.

— Z wodą?

— Zawsze bez wody...

— To tak jak ja — ucieszył się Hermanowicz.

Wypili.

— Dojrzałem pana ciekawy wzrok, panie Ordon. Dziwi pana, zapewne, że piszę list...

— Pana sprawa...

— Nie, to nie tajemnica. To list do syna. Zostawiłem rodzinę w Bydgoszczy. Nie miałem żadnych sygnałów z domu od początku wojny, ale listów do nich nie wysyłałem. Nie wiem, jak tam teraz jest, mogliby mieć przez te moje listy przykrości. Słyszał pan, że hitlerowcy po zajęciu miasta dopuścili się masowych mordów na cywilnej ludności?

— Coś słyszałem.

— Moi mieszkali w centrum, ale rodzina żony na wsi. Mam nadzieję, że wyjechali na wieś i jakoś te dni grozy przeczekali. Syn był jeszcze za młody, żeby walczyć, choć Niemcy odgrywali się nawet podobno na harcerzach. No, chyba jednak najgorsze ominęło całą rodzinę. Mam taką nadzieję... Skąd w takim razie ten list, zapyta pan? Ja często piszę listy do domu, a głównie do syna, ale nigdy nie wysyłałem. Mam ich już sporą paczkę. Kiedy się to wszystko skończy, będziemy wspólnie czytać. Wyobraża pan sobie? Wieczór bez niepewności, czy zastukają w nocy żandarmi, bez ryku syren, bez zaciemnienia, atmosfera pogody, ciepła, pokoju. Wtedy mogą wracać wspomnienia z najdramatyczniej szych chwil. Odżyją na chwilę i spłoną na popiół, kiedy żona oznajmi, że pora na kolację... Sam pamiętam, z jaką przyjemnością czytałem kiedyś książki o Indianach, pełne pościgów, wystrzałów i okrzyków wojennych.

— Czytywał pan Karola Maya?

— Oczywiście. „Hadzi Halef Omar”, „Skarb w Srebrnym Jeziorze”, cały cykl „Rodu Rodriganda”, ale przede wszystkim powieści o Winnetou...

Może te moje listy staną się podobną lekturą dla mojego syna, jak dla mnie były opowieści o Dzikim Zachodzie?... A może kiedyś związę je wszystkie razem i wrzucę do morza? Zależy od tego, jak potoczą się moje losy, nasze losy... Ile lat może trwać jeszcze ta wojna?

— Nie wiem. Na wiosnę w czterdziestym śpiewano piosenkę „Im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej”, ale w kwietniu Niemcy uderzyli na Norwegię i Danię, a latem wkroczyli do Paryża... A w czterdziestym pierwszym uderzyli na Związek Radziecki... Przeszto już wróżyć, przesztano układać dowcipy.

— Wróżyć to może i przesztano— sprostował Hermanowicz — ale tam, w kraju, są i piosenki, i humor. I jest także walka, Na przekór śmierci i na przekór nocy. To tylko w Londynie kaza nam patrzeć na kraj jak na Golgotę. A oni tam walczą jak my na oceanie. Też mają tam sztormy i alarmy, też piszą takie listy jak ja, właśnie do swoich bliskich, aby czytać je razem, kiedy już wszystko się skończy.

Podobało się Ordonowi to, co mówił Hermanowicz, i chętnie zostałby u niego dłużej, ale spieszył się na mostek. Poklepał więc oficera po ramieniu i wyszedł z kabiny.

## 6.

---

Kapitan Saniewicz bał się arktycznych lodów. Wiedzieli o tym wszyscy i jakoś nikt nie potrafił przyczyny tego strachu dokładniej wyjaśnić. Nie wiadomo skąd poszła ta plotka lub pogłoska, kto był tym, który ją posiał, rozeszła się jednak szybko. Saniewicz był już starszym człowiekiem. Kto wie — gdyby nie wojna, może i on poszedłby już na emeryturę. Armatorzy wolą zawsze ludzi młodych. Podobno tuż przed wojną miał już kłopoty we flocie ze względu na swój wiek. Przybór młodych ludzi z dyplomami Pań-



stwowej Szkoły Morskiej był szybszy, aniżeli ilość nowych statków, o awanse było trudno, a na starych kapitanów patrzono podejrzliwie.

Był człowiekiem dobrym, ale na lądzie. Na morzu nie był już ani dobry, ani zły, po prostu wymagał, aby wszystkie jego polecenia uważane były za święty obowiązek, sam zaś sprawował na statku funkcję jakby czarownika, jedyne go człowieka, który ma prawo rozmawiać z istotą wyższą. Tą wyższą istotą był statek.

O Saniewiczu wiadano powszechnie, że jest starym kawalerem i samotnikiem, może nawet wrogiem kobiet. Nikt nie słyszał nigdy o jakiejś jego rodzinie czy krewnych, a na stoliku przy koi stał w kapitańskiej kabinie wizerunek jakiegoś niewielkiego, mocno dymiącego parowczyka o wysokim kominie i masztach z rejami. Kapitan miał nastroje zmienne — niekiedy zamknięty, burzliwy i ponury, to znów tryskający humorem i energią, gadatliwy i towarzyski.

W tych swoich dawnych rejsach musiał kiedyś zawędrować na podbiegunowe szlaki i tu spotkała go jakaś niemiła przygoda z lodami. Może Arktyka uwięziła jego statek? Teraz oficerowie zmuszeni byli meldować natychmiast o pojawieniu się każdej większej kry, każdego płatu paku lodowego.

Saniewicz często stał na pomoście nawigacyjnym obok sternika albo oficera wachtowego, ale na ogół nie wtrącał się do prowadzenia statku, nawet nie rozmawiał. Po prostu stał i patrzył. Było to dość denerwujące, ale można było się do tego przyzwyczaić. Jeżeli dostrzegł jakiś drobny błąd, oczywiście błąd niegroźny, nigdy nie wypowiadał swych uwag wobec osób trzecich. Natomiast reagował natychmiast i brutalnie, kiedy ktoś popełniał coś niezgodnego — w jego przekonaniu — ze zdrowym rozsądkiem, co zagrażało bezpośrednio życiu załogi, życiu statku. Wtedy był bezlitosny.

Teraz stał właśnie za Ordonem, z rękami w kieszeniach płaszcz z wielbłądziej wełny, posągowy, jakby zadumany, z ostro rysującym się w nikłym świetle swym pięknym orlim profilem. Wydawał się jednak już

bardzo stary — choć nie wiadomo, czy było to tylko takie wrażenie, czy też półmrok ujawniał rzeczywistość.

— Pan po raz pierwszy na tych wodach? — spytał nagle oficera wachtowego, co jednak zabrzmiało jak próba nawiązania rozmowy, a nie pytanie retoryczne.

— Pływałem już kiedyś do Norwegii, znam kilka tras atlantyckich, od równika aż do Grenlandii — odpowiedział Ordon. — Na Morzu Barentsa jestem jednak po raz pierwszy...

— Koło Grenlandii czuje się także Arktykę. Ba, rejon Prądu Labradorskiego nazywają wylegarnią białej śmierci... Ale na Morzu Barentsa i na Morzu Karskim Arktyka wydaje się groźniejsza. Przeżyłem tam kiedyś coś takiego — zaczął mówić, ale nagle urwał. — Zresztą niejedno tam przeżyłem — podjął po chwili, jakby równocześnie chciał ominąć podjęty temat.

— Koło Labradoru oglądałem górę lodową niewiarygodnie wielką. Aż strach pomyśleć, że była to tylko jedna siódma bryły, a sześć siódmych znajdowało się pod wodą... — spróbował kontynuować rozmowę Ordon. Czy o to chodziło kapitanowi?

— Na tych wodach takie „ajsbergi” to rzadkość, ale są tu także inne niebezpieczeństwa. Na szczęście Murmańsk to wymarzona przystań. Możliwa do osiągnięcia nawet zimą.

— Dociera tu Golfsztrom.

— To także. Ale również to po prostu cudownie położony port. Sam pan zobaczy.

— Przepraszam, że zapytam... Był pan już kiedyś w Murmańsku, kapitanie?

Saniewicz chwilę nie odpowiadał i Ordon pomyślał, że niezbyt grzecznie próbuje podtrzymać tę rozmowę. Może kapitan nie chciał o tym mówić.

wić? No, ale przecież sam zaczął. Może zresztą nie zależało mu na rozmowie, lecz na monologu, do którego obecność Ordonu służyła jako pretekst?

— W Murmańsku? — powtórzył pytanie. — Można powiedzieć, że byłem. Ale to dawne czasy. Bardzo dawne. Obecnie to już nie tamten Murmańsk. Pamiętam, kiedy głównym miastem fiordu była osada nazwie Kola. Tak, jak nazywa się fiord nawet cały półwysep. Po prostu Kola. Jestem już stary, bardzo stary, panie Ordon... — Było to wyznanie dość niezwykłe w ustach wilka morskiego. Może dlatego Saniewicz gwałtownie po nim zamilkł i dopiero po chwili, jakby pragnąc rozmowę skierować na inne tory, zagadnął: — A pan z których to Ordonów?...

— Podobno z tych samych, panie kapitanie, co ów Ordon z wiersza Adama Mickiewicza: „Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo i spojrziałem dokoła: dwieście armat grzmiało” — odpowiedział nie bez cienia złośliwości oficer. Nie pierwszy raz zadawano mu to pytanie. Starsi rozmówcy nawiązywali zawsze do bohatera wiersza Mickiewicza, ale młodszych ciekawiło, czy jest spokrewniony z piosenkarką Hanką Ordonówną.

— Zna pan Rosjan?

— Chyba nie...

— Dlaczego „chyba”?

— Mój ojciec był zarządcą majątku pod Wołkowyskiem. Na południe od Grodna. Nikt z tamtejszych chłopów nie mówił po polsku. Z konieczności więc uczyłem się od chłopów po rosyjsku, a właściwie trochę po rosyjsku, a trochę po białorusku, tak jak mówiono. Wychodził z tego żargon, ni to polski, ni rosyjski, ni białoruski. Żeby się z tego jakoś wydostać, ojciec zaczął mnie uczyć po rosyjsku. Chodził kiedyś do rosyjskiego gimnazjum, nie przedstawiało to więc dla niego większej trudności. Tak więc, jeżeli chodzi o bliskie kontakty z Rosjanami, zacząłem je od Puszkina i Lermontowa. Jak dotąd nie miałem okazji wypróbować swoich umiejętności.

— Nadarza się więc taka okazja. Prawdę mówiąc i dla pana, i dla mnie. Ja także więcej niż dwadzieścia lat nie mówiłem po rosyjsku!

Trzeba tu dodać, że cały ten dialog prowadzony był z przerwami, kiedy oficer porozumiewał się z maszynownią, rzucał polecenia wachtowemu, nachylał się nad mapą, ustalając aktualną pozycję statku i wpisywał dane do dziennika okrętowego. Kapitan, starym zwyczajem, zaglądał mu przez ramię, nasłuchiwał rozmów z maszynownią, wpatrywał się w mapę — jakby spełniał tu rolę nauczyciela, kontrolującego pracę ucznia. Oficer zdążył się już jednak przyzwyczaić. Teraz sprawdził jeszcze wachty burtowe. Ciemność nie była zupełna. W przerwach między szkwałami niebo jaśniało jak przed wschodem słońca.

— Morza dalekie porzuciłem, gdy wybuchła w osiemnastym roku Polska... — kontynuował Saniewicz swój ni to dialog, ni monolog. — W Marynarce Wojennej; jeszcze w Tczewie, potem w Gdańsku i u drewnianego mola w Pucku, spotykali się wówczas Pojacy, którzy pływali przedtem pod różnymi banderami. Pod francuską, rosyjską, niemiecką, austro-węgierską... Należało ustalić jednolity regulamin przyszłej polskiej floty, jednolity krój mundurów, jednolitą terminologię, a nie było to wcale łatwe i proste, każdy przyszedł z innymi doświadczeniami...

Barometr już nie szalał. Czyżby zaczynała ustalać się pogoda? Choć pogoda na tej szerokości geograficznej ma tak różne oblicza! Wiatr dmuchał trójką, w porywach najwyższej czwórka, można było wytrzymać.

Morze rozkołysane, ale martwą falą, która kiwała mocniej, lecz nie szturmowała już w nadburcia, nie strzelała fontanną spod dziobu, gdy statek walił się z wodnej góry w wodną dolinę.

— I wówczas trafił pan kapitan do naszej Marynarki Wojennej... — odpowiedział Ordon przerwany wątek.

— Tak. Do Marynarki Wojennej. Dziś nosimy mundury wzorowane na kroju angielskim. Wtedy u oficerów przeważał krój francuski. Ale co tam krój! To była już, panie drugi, polska marynarka, polska flota!

— A potem przyszła Gdynia...

— Nie, potem był przewrót majowy. Gdynia, to prawda, istniała już na mapie i w głowach entuzjastów, ale w rzeczywistości to był dopiero załączek Gdyni. Embrion. Pamiętam, stał już wtedy w pobliżu wybrzeża Gdyni stary francuski krążownik, „D'Entrecasteaux”, bohater walki o Kanał Sueski, kiedy w pierwszej wojnie światowej Niemcy i Turcy ruszyli na Egipt. Oczywiście nie od zachodu, jak usiłują to osiągnąć dziś Niemcy i Włosi, ale od wschodu... Dzielny, stary grat „D'Entrecasteaux”.

— Znaczy... późniejszy polski „Bałtyk”? Ostatnio oglądałem go jeszcze w Gdyni w trzydziestym dziewiątym...

— Przy drewnianym pirsie cumowały już wtedy pierwsze torpedowce... Pamiętam, byłem kiedyś w mesie, a na pokład weszli ułani. Myr w marynarce, mieliśmy jakąś awersję do ułanów, bo ułani to był także symbol pewnej myśli politycznej, w której brakowało nam spojrzenia na Bałtyk. Weszli więc ułani i zaczęli stukać po pokładzie ostrogami. Panie, słyszał pan coś podobnego? W ostrogach wchodzić na okręt!? Krew mnie zalała. Zawołałem wachtowego i rozkazałem mu, aby zażądał od ułanów zdjęcia ostróg. Gdyby się nie zgodzili, wachtowy miał obowiązek wyprosić ich z pokładu. A gdyby to nie pomogło — wyrzucić siłą. I zrobił to. Potem okazało się, że byli to pułkownicy z samej śmietanki legionowej. W dodatku z paniami. Tak skończyła się moja kariera w Marynarce Wojennej. Raz na zawsze...

— No, niezupełnie, panie kapitanie, jeżeli wolno się nie zgodzić. Nasz „Kamerun” to dziś jakby okręt wojenny.

— „Krażownik pomocniczy”, co? Prawie łamacz<sup>37</sup> blokady? A z uzbrojenia jedno działo i dwa karabiny maszynowe!...

Znów Ordon musiał określić przypuszczalną pozycję statku i nanieść kurs. Potem należało — zgodnie z umową — porozumieć się z sąsiadami. Noc jakby wyraźnie jaśniała, widoczność poprawiła się. Odpowiadali mrużeniem swoich lamp sygnalizacyjnych o przyćmionym, niebieskim świetle.

Bliżej „Kamerunu” szedł brytyjski tramp, bardziej ku przodowi wysforował amery

kański motorowiec. Polacy stanowili ubezpieczenie tylne tej małej floty.

Rozstawieni wachtowi meldowali sytuację bez zmian. Barometr szedł ku górze, natomiast spadała rtęć w termometrze, a o burty stukały wielkie, coraz większe arktyczne kry.

Ordon w pewnym momencie pomyślał, że statek musi obecnie przypominać jedną wielką górę lodową.

— Mówił pan coś, panie kapitanie, o przygodzie, jaką przeżył pan na tych wodach... — zaczął podjęty dialog, a właściwie prowokowany monolog kapitana. Nie usłyszał jednak odpowiedzi. Obejrzał się i stwierdził, że kapitana nie ma już na pomoście nawigacyjnym.

## 7.

---

Z dwójki wyłowionych rozbitków jeden był dalej nieprzytomny, ale drugi czuł się lepiej i z jego wrywkowych relacji można było odtworzyć cały przebieg ataku na konwój. Samoloty hitlerowskie nadleciały w dwóch kolejnych falach, oddzielonych kilkugodzinną przerwą. Kto wie, może były to nawet te same maszyny, które po prostu po pierwszym nalocie wróciły na norweskie lotniska po nowe bomby i znów wystartowały do natarcia. Ataków torpedowych marynarz nie zauważył, ale za to dość sprytnie przeprowadzony nalot bombowy z dwóch pułapów, przy czym największe straty przyniosło bombardowanie z lotu koszącego. Statek komodorski dostał trzy bomby. Dwie w część dziobową i jedną w śródokręcie, koło pomostu nawigacyjnego.

— Mówili, że na mostku były jatki. Czy zginął kapitan Walker, nie wiem. Ktoś tam w każdym razie trwał na stanowisku i wydawał rozkazy. Byłem w obsłudze boforsów na śródokręciu, ale za kominem. Nie znajdo-

wałem się więc w bezpośrednim polu rażenia. Oczywiście eksplozje zwaliły nas z nóg, a nawet wysadziły lewy bofors ze stanowiska, ale paniki nie było. Alarm szalupowy nastąpił niemal bezpośrednio po nalocie. Ktoś tam był więc chyba dobrze zorientowany, co się święci. Widziałem drugiego oficera Colinsa, który objął dowodzenie nad ewakuacją. Statek tonął, to było już odczuwalne, a w dodatku w luku numer jeden szalał pożar. W czasie akcji ratunkowej nadleciał jeszcze jeden samolot hitlerowski i rzucił cztery bomby. Trzy poszły w morze, ale jedna trafiła w luk numer cztery, w części rufowej, i tam spowodowała wewnętrzną eksplozję. Byliśmy naładowani amunicją jak arsenał. Wtedy zaczęliśmy spuszczać wszystkie łodzie i tratwy i skakać do morza. Byłem już w wodzie, gdy cała rufa wystrzeliła w górę gejzerem ognia jak Wezuwiusz...

Nie, nie widział Wezuwiusza, ale ta metafora wydała mu się najstosowniejsza. Statek stał cały w płomieniach i zagłębiał się w wodę tak szybko, że nie zdążyli daleko odpłynąć, kiedy eksplodowały kotły. Ogień i woda dokonały doszczętnego zniszczenia w ciągu trzech minut. Wydawało mu się, że wszystko to trwa bardzo długo, ale kiedy spadły te cztery bomby, spojrzął na zegarek. Potem, kiedy był już w wodzie i widział agonię statku, spojrzął jeszcze raz. Nie żeby cokolwiek ustalić. Chyba machinalnie.

Nie potrafił odpowiedzieć, ilu się uratowało. Morze było pełne szczątków statku i pływających marynarzy.

Dookoła trwała walka i w niebo leciały smugi pocisków. A Niemcy? Widział tylko jeden spadający samolot. Może zestrzelono ich więcej, ale nie wie ile. Pływając w lodowatej wodzie — wśród tonących i umierających — nie patrzy się w niebo. Szczęśliwym trafem napotkał tratwę, z trudem wygramolił się na nią. Gdyby przebywał w wodzie kilka minut dłużej, już z pewnością nie miałby sił. Tego drugiego sam wyłowił i wciągnął na tratwę. Niestety, tamten przebywał dłużej w wodzie. Nie, nie był ranny. Widział jeszcze dość blisko kadłub niszczyciela, który wyławiał rozbitków. Ale Niemcy atakowali dalej i wszystkie działa okrętu prowadziły nieustanny ogień. Z burty niszczyciela zwieszono ratunkową siatkę, ale wąt-



pliwe było, czy uda się kostniejącym z zimna ludziom wdrapać na pokład. Na domiar złego napłynęła nagle ława kaszy lodowej, a nawet kry. Potem marynarz stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, nie zobaczył już szczątków statku, rozbitków, ani burty niszczyciela i zrozumiał, że fala zniosła go daleko od walczącego konwoju.

— Wtedy straciłem przytomność po raz drugi — powiedział do Orдона. — Chyba ze strachu...

Ordon pomyślał, że sam nadrabia miną, ale i on się boi. Boi się od tego momentu, gdy wyszedł na pokład i zobaczył płonący tankowiec. Dotąd nigdy nie odczuwał podobnego lęku, choć bywało gorzej. Czy rzeczywiście bywało gorzej?

Coś tam bąknął pod nosem, dziękując za relacje o śmierci „Pameli”, i wyszedł na pokład. Było zimno, relingi oszronione, buty ślizgały się po lodzie. Zaszedł więc do Bzowca, aby napić się kawy. Dostrzegł we wzroku mistrza kuchni coś jakby pytanie: „Co to, rozkleja się pan, panie drugi?”

— Ciężko się robi? — pytał kok.

— Wygląda, że ciężko. Może być jeszcze gorzej.

— Kiedy wychodziłem z domu, powiedziałem, że wrócę na pewno. Więc wrócę.

— Gdzie pana dom?

— Ech, daleko. Pod Gdynią. Zna pan Wejherowo?

— Nie.

— Ładne miasteczko. A im dłużej jestem z dala od domu, coraz ładniejsze.

— Miał pan jakąś wiadomość z domu?

— E, to nie takie proste. Zresztą nie próbowałem. Powiedziałem, że wrócę, to wrócę.

— I będą na pana czekać?

— Będą. Choćby całe życie.

— Wierzy pan w to?

— Trzeba wierzyć.

Dopił kubek kawy, podziękował i poszedł na pomost nawigacyjny, mimo że nie miał jeszcze wachty. Coś go niosło po całym statku, jakby pokład przestał nagle gwarantować mu bezpieczeństwo.

Zdawał sobie jasno sprawę z sytuacji. W razie ataku okrętów podwodnych byli bezsilni. Przy napadzie lotnictwa ich odpór byłby minimalny. Zestrzelenie rozpoznawczego „Condora” było więcej dziełem przypadku niż świadectwem doskonałości uzbrojenia i wyszkolenia artylerzystów. Czuł się współodpowiedzialny za ich maleńki konwój, dlatego spytał kapitana Saniewicza, czy nie uważa za słuszne powiadomić o sytuacji bazę w Murmańsku i zażądać osłony.

— Jeżeli to zrobimy, będziemy mieli wkrótce na karku albo szwabskich lotników, albo podwodniaków. Nie mamy wyboru. Musimy milczeć.

Czy rzeczywiście niepokój o los statku i ich małej armady był tylko płaszczykiem, pod którym kołatał zwykły lęk? Czego się bał? Śmierci w zimnych wodach Arktyki, choć był to przecież zgon bezbolesny? Wolałby umrzeć w ogniu walki...

Zaskoczyła go ta myśl o śmierci. Dotąd w ten sposób nie rozumował. O czym on myśli? Już raczej pora przespać się przed następnym wezwaniem na pokład.

Właśnie wtedy rozległ się na pokładzie gong i zawarczały dzwonki... Od strony Anglików zawyła syrena. Tam także zarządzono alarm.

Samolotów była trójka i prawdopodobnie stanowiły one część większego zespołu, lecącego przeciw konwojowi z baz niemieckich, położonych w Norwegii. Maleńką karawanę trzech statków odkryły przypadkowo.

Z pokładu amerykańskiego zaczęły bić pompy, a zawtórowały im wkrótce działa i erkaemy z dymiącego frachtowca brytyjskiego i z „Kamerunu1”. Trzy samoloty przeszły w wiraż i rozdzieliły się. Ich czarne krzyże na skrzydłach były doskonale widoczne z pokładów wszystkich trzech statków. Potem pierwszy wystrzelił w górę świecą i przeszedł w lot nurkowy celując w Anglika. Za nim ten sam manewr powtórzyła druga maszyna. Natomiast trzecia nie brała udziału w akcji, oblatując zespół szerokim łukiem na niskim pułapie.

Koło „Isle of Man” woda zakipiała od pocisków, a wysokie słupy piany wskazywały miejsce upadku bomb. To było wprost niewiarygodne: statek znalazł się bezpośrednio w widłach ataku pierwszego samolotu, ale wszystkie bomby poszły w morze. Druga hitlerowska maszyna musiała mieć jednak lepiej wyszkoloną załogę, bo dwie bomby eksplodowały w śródkręciu. Jedna tuż przy burcie, czyniąc w niej ogromny wyłom, druga w nadbudówce, tuż za kominem. Chmura dymu zasłoniła statek, ale dzielna obsługa działka strzelała bez przerwy, już chyba teraz na ślepo, w przekonaniu, że nie dopuści do ponownego ataku.

Ci, którzy obserwowali atak, próbowali zgadnąć, jakie uszkodzenia odniósł frachtowiec. Potem zauważyli, że jeden z odlatujących samolotów lekko dymi.

Chyba wtedy zameldowano na mostek, że dowodzący obsługą działka rufowego na „Kamerunie” został zabity i wolny od wachty Ordon pobiegł objąć jego miejsce. Miał za sobą nie lada praktykę w atlantyckich konwojach i liczył, że uda mu się zadokumentować teraz swoje umiejętności. Na mostku nie zauważyli nawet, kiedy rufowe działko dostało się pod ostrzał karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Musiało to trwać moment. Właśnie wtedy, gdy oba samoloty wychodziły z lotu nurkowego...

Ordon nie dobiegł jeszcze do stanowiska działka, kiedy usłyszał przeraźliwe wycie nurkującego samolotu. Roje pocisków kroili powietrze. Do Niemca bili z pokładu angielskiego parowca, mimo że śródkręcie „Isle of Man” wciąż otaczała chmura dymu, oraz z pokładu amerykańskiego moto-

rowca. Po pokładzie i umocowanych na nim jeepach, poszły nagle serie z broni pokładowej atakującej maszyny. Potem wycie silników i rozcinanego skrzydłami i kadłubem powietrza ogłuszyło drugiego oficera, zważyło go niemal z nóg.

Eksplozję bomby słyszał jeszcze wyraźniej, razem z błyskiem wybuchu, który rozdarł lewą burtę i zmiotł część ładunku, spiętrzonego ponad lukami na pokładzie. Ten błysk i ten huk słyszał Ordon wciąż jeszcze, nawet wówczas, kiedy samolot był już daleko, kiedy zaczynał pluć czarnym dymem i kiedy wreszcie jego czarny kadłub zderzył się z białą kry lodowej, tańczącej na grzbietach fal. Huk przeszedł w wycie i Ordon chciał kogoś jeszcze zapytać, dlaczego nie wyłączą tej cholerniej syreny. Ale nie potrafił poruszyć wargami. Chciał iść dalej, ale nie był pewny, czy jeszcze stoi na pokładzie, klęczy, czy może leży. Chciał przetrzeć oczy, ale nie wiedział, jak przekazać to polecenie rękami... Potem nagle wycie gwałtownie umilkło i oficer poczuł, jakby wirował na karuzeli, szybko, coraz szybciej...

— Miał cholerne szczęście, że znalazł się akurat na prawej burcie — powiedział ktoś koło niego.

— Żyje? — zagadał inny głos.

— Cholera go wie! Chyba tak.

— No to ciągniemy go na dół. Tam zrobi się opatrunek. Tu niebezpiecznie, możemy lada moment wszyscy położyć się na pokładzie. Ostrożnie, stary! Nie tak ostro!

W tym momencie Ordon odczuł nagle, że karuzela, na której wirował, przechyliła się gwałtownie i uderzyła o ziemię, a następnie z brzęczeniem tysięcy dzwonek rozleciała w proch i pył.

Stracił przytomność...

## 8.

---

Brytyjski frachtowiec „Isle of Man” dymił teraz jak stara fabryka. Na śródokręciu szalał pożar i z obu towarzyszących mu statków widać było, że cała załoga pracuje przy gaszeniu ognia. Rozprzestrzenienie się ognia groziło eksplozją. Częściowemu zniszczeniu uległ mostek, jednakże znajdujący się tam akurat kapitan Wilkins — stary wyga, który już w niejednych podobnych opresjach bywał — cudem uniknął śmierci. Odłamek zabił natomiast marynarza przy kole sterowym. Nie działała radiostacja, pompować wodę można było tylko ręcznie. Ale te stare, osmalone dymem trampy budowane były solidnie, jakby pływać miały dwieście lat. Grodzie między ładowniami trzymały szczelnie, jak na okręcie podwodnym. Stąd też fale, które wdarły się przez rozdartą niemal do linii wodnej burtę — nie groziły zatopieniem. Owszem, wiele przedziałów na śródokręciu było nie do użytku, a w korytarzach i maszynowni marynarze brodzili po kolana w wodzie, nie nadszedł jednak jeszcze kres trampa. Jakimś cudem działało całe urządzenie sterowania i można było próbować ustawiać statek dziobem do fali. Przy silniejszym wietrze mogło się to nie udać, lecz na Morzu Barentsa wyraźnie się rozpogodziło.

Amerykański „Jamestown”, który z bitwy wyszedł w najlepszym stanie, sygnalizował gotowość przyjęcia holu, co stanowiło jedyny sposób uratowania parowca z opresji.

„Kamerun” miał rozwaloną burtę i podmuch wybuchu zmiotł z pokładu jeden z jeepów. Tak więc sztorm ogołocił ze sprzętu przedni pokład, a bomba uczyniła to z tylnym pokładem... Uszkodzeń doznał także sprzęt w ładowni numer cztery, w gruncie rzeczy nie było to jednak nic groźnego. Przy większej fali mogła do ładowni dostać się woda, ale pompy pracowały sprawnie. Z załogi — jeden był zabity, trzech rannych. Wśród rannych znajdował się drugi oficer. Bosman Wizajnas, który przeszedł w Szkocji kurs sanitarny, ułożył oficera na koi w jego kabinie. Tam wpakował mu za-

strzyk przeciwtężcowy i obmył rany. Pomagał mu w tym marynarz Posada, także po kursie sanitarnym. Ordon dostał trzema odłamkami; jeden rozorał mu bok, drugi utkwiał bardzo płytko w przedramieniu, ale trzeci trafił w lewą nogę. I to była rana najpoważniejsza. Obaj sanitariusze zrobili wszystko, co w takiej sytuacji należało do ich obowiązków. Wiżajnas uczynił nawet więcej, bo kiedy zauważył, że drugi wraca do przytomności, wszprował mu dawkę morfiny w pośladek, a następnie położył na stoliku wyjęty z przedramienia odłamek, aby oficer znalazł go po obudzeniu.

Właśnie skończył, gdy do kabiny zajrzał Saniewicz.

— No i co?

— Nic groźnego, panie kapitanie, o ile się znam na medycynie.

— A znacie się znakomicie, co?

— Nie można powiedzieć, panie kapitanie. Byłem prymusem na kursie. Pan Ordon dostał odłamkiem w bok, rana brzydka, ale odłamek poszedł dalej. Dostał także w przedramię, chyba rykoszetem, bo rana płytka i odłamek sterczał. Można było wyjąć bez kłopotu. Najgorzej z nogą, bo odłamek siedzi. Potrzebna będzie operacja. W Murmańsku mają lekarzy, to się pana Ordoną pośle do szpitala.

— Cała nadzieja w szpitalu na lądzie, bo pod waszą opieką nie żyłyby długo. Co z innymi rannymi?

— Już tam lecę... Jest przy nich teraz marynarz Ciuba, też po kursie.

— Zaaplikowaliście coś Ordonowi?

— Odkaziłem rany, obandażowałem i dałem morfiny, żeby pan Ordon sobie pospał... Przeciwtężcowy też, panie kapitanie. Tak mnie uczono...

— No już dobrze, biegnijcie do innych!

Obaj marynarze wyszli pospiesznie z kabiny, a wtedy Saniewicz podszedł do rannego i popatrzył na jego uśpioną twarz, potem na małpiarski pyszczek pluszowego misia, wzruszył ramionami i wyszedł.

Oficer radio zameldował mu, że nadał już wiadomość tekstem otwartym do Murmańska i że ma kontakt z krążownikiem „Halifax”.

— Chyba rzucają nam z konwoju coś dla osłony. Nie powiedzieli co, ale mamy utrzymać ten sam kurs. Murmańsk też wie już o nas, może przyślą osłonę — mówił radiooficer.

Informował także, że odebrał wezwania o pomoc od jakiegoś statku, ponadto kilka rozmów w języku rosyjskim i kilka po niemiecku.

W godzinę później spostrzegli podchodzący ku nim szary kształt okrętu wojennego. Była to korweta „Seawolf” z konwoju, ta sama, która pomagała panamskiemu „rescue-ship”, gdy ten ewakuował załogę pierwszego zaatakowanego statku z konwoju. Zjawienie się angielskiego okrętu przywitały załogi trzech maruderów gromkim „hip-hip-hura!”, ale nie umilkły jeszcze okrzyki, gdy nagle z pokładu korwety zapiał w charakterystyczny sposób klakson alarmowy. Tym razem nie były to samoloty, choć basowe mrużącando ich silników przewalało się ciągle gdzieś w oddali, pod pułapem horyzontu. W pobliżu zespołu kręcił się okręt podwodny. Korweta zmieniła kurs i całą mocą maszyn pognęła w kierunku domniemanej obecności U-boota. Wkrótce charakterystyczne odgłosy wyrzucanych bomb głębinowych poinformowały o rozpoczęciu ataku. Podwodne detonacje wysadziły w górę słupy białej piany. Z maszynowni „Kamerunu” pytano, czy to znów nalot, bo wstrząsy potrzaskały im jakieś manometry i żarówki.

Obecność korwety wlała w serca marynarzy otuchę. Sytuacja nie wydawała się już tak groźna, choć w rzeczywistości było inaczej. Okręt brytyjski obiegał karawanę, jak pies pasterski stado owiec, odganiający atakujące wilki. Ale nawet najlepszemu owczarkowi nie uda się upilnować wszystkich sztuk, gdy naciera zgraja rabusiów, a nerwowe zwroty korwety na to wskazywały. Co chwila leciały w wodę całe serie bomb, wybuchając

z dudniącym łoskotem pod powierzchnią. A jednak nie odstraszyło to napastników. W pewnym momencie kaleki tramp „Isle of Man” dostał torpedę niemal w to samo miejsce, które tak poważnie uszkodziła bomba. Siad piany na powierzchni morza znaczył drogę drugiej torpedy, która nie trafiła do celu. Korweta natychmiast całą mocą maszyn skierowała się na uzyskany namiar, strzelając z wyrzutni bombami głębinowymi.

Tymczasem „Isle of Man” tonął. Na „Jamestown” przecięto już hol i wyrzucono na burty sztormtrapy. Z trampa zrzucano tratwy. Spuszczono także jedną szalupę. Inne zostały zniszczone w czasie ataku lotniczego.

— Płyńcie naprzód — nadano z pokładu „Jamestown” do „Kamerunu”.  
— My zajmiemy się rozbitkami!...

Saniewicz nie miał jednak takiego zamiaru. Razem walczyli, razem dojdą do Murmańska. Na burtę polskiego statku także wyrzucono sztormtrapy.

Wtedy właśnie nadleciał klucz trzech samolotów i ich pojawienie na chwilę dezorientowało załogi. Obsługa dział i erkaemów skoczyła na stanowiska bojowe, na „Jamestown” zawyła syrena alarmowa, a na „Kamerunie” uderzył gong... Ale wtedy z nadlatujących samolotów strzelono i zieloną raketę, co wstrzymało krewkich [ artylerzystów od otwarcia ognia. Z korwe

ty również wyleciała w niebo rakietka...

— Rosjanie! — krzyknął bosman Wizajnas. — Jak matkę kocham, Rosjanie!...

— Panie kapitanie, to chyba już ci z Murmańska — powiedział oficer wachtowy Mieszkowski do trwającego jak posąg na mostku Saniewicza.

Korweta przestała piszczeć klaksonem alarmowym i podeszła do „Kamerunu”. Jej dowódca pytał, czy wszystko w porządku. Kapitan Saniewicz odpowiedział, że „of course” — wszystko w porządku. Dojdą o własnych siłach do Murmańska? Naturalnie, że dojdą.



Akcja ratunkowa prowadzona przez „Jamestown” przebiegała sprawnie. „Kamerun” przejął jedynie pięciu rozbitków, korweta trzech — wszystkich innych wwindował na swój pokład amerykańnin. Morze było spokojne. Z powierzchni zniknęła również kasza lodowa i kra... „Isle of Man” zagłębiał się coraz bardziej i coraz szybciej. Kotły były już wygaszone, tak że szedł na dno spokojnie, jak kona stary, zmęczony człowiek. Nawet wir nie wytworzył się zbyt wielki, gdy pod falami zniknął komin i maszty,.. Jedynie z ugaszonego przez wodę pożaru — szalejącego jeszcze gdzieś, we wnętrzu — zerwał się niewielki biały obłok pary, który szarpany wiatrem poszybował ku otwartemu morzu, jakby odlatywała dusza trampa.

Radzieckie samoloty krążyły po kołach i elipsach ponad maruderami. Ale też byli to dość osobliwi maruderzy. Wyprzedzili — jak się okazało — trzon konwoju. Szedł on wolno, nawet bardzo wolno, ze względu na uszkodzenia, jakie doznały statki w czasie nalotów. Gdyby akcja ratowania załogi „Isle of Man” przedłużyła się, niewątpliwie „Kamerun” i „Jamestown” dołączyłyby do całej karawany. Albo inaczej to wyrażając, konwój dołączyłby do maruderów. Czekać nie było już sensu, dwa statki i korweta szły do Murmańska.

Samoloty radzieckie przeleciały nisko nad małym zespołem, po czym wzięły kurs na główne zgrupowanie konwoju. Ich opiekuńczą funkcję przejął wkrótce radziecki niszczyciel Floty Północnej. Pod wieczór na horyzoncie ukazała się sina linia lądu, która powoli rosła, nabierając kształtów skalistych urwisk.

Bosman Wiżajnas zajrzał do izolatek szpitalika, do kabin oddanych rozbitkom i wreszcie do Orдона. Gdy nachylił się nad oficerem i poprawił mu bandaż, przez które przesiąkała krew, ten zamrugł powiekami.

— Gdzie jestem? — przeszło mu z trudem przez gardło pytanie.

— Śpij pan, panie drugi. Wszystko będzie dobrze — zamruczał uspokajająco bosman, powtarzając to samo zdanie, które już serwował jako lek psychologiczny innym pensjonariuszom pokładowego lazaretu.

— Statek?

— W porządku. Trochę oberwał, ale nie dał się. Wytrzymał. Szkopy odlecieli...

— Jestem ranny?

— Ech, nic groźnego. Podmuch zwałił pana z nóg i trochę pokaleczył.

— Daleko do Murmańska?

— Już widać ląd, panie drugi. No i Ruscy są koło nas — ich niszczyciel, ich samoloty. Spij pan spokojnie. Dziś jeszcze będziemy cumować.

— Mówisz, widać ląd?...

— Jak na dłoni, panie drugi. Jesteśmy jakby w domu.

— Dziękuję... — odpowiedział oficer i znów zapadł w sen.

Saniewicz tkwił dalej na mostku, patrząc na skalisty, dziki brzeg, nad którym polatywały chmary ptactwa. Niszczyciel radziecki wysforował naprzód, nadając aldisem „follow me”, miał więc zamiar pełnić rolę pilota. Za jego rufą płynął „Kamerun”. Dalej „Jamestown”, a na końcu korweta „Seawolf”.

Skalisty brzeg wychodził im naprzeciw coraz wyższy, groźniejszy, straszący kipiela przyboju. Mniejsze wysepki zlewały się z tłem krajobrazu, a jedynie wyspa Kildin wyróżniała się potężną bryłą. Z latarni Abram Karga błyskały aldisy, którym odpowiadał niszczyciel. Potem powtórzyła się ta sama sygnalizacja z bateriami rozlokowanymi na przylądku Nawołok. Fala nagle skróciła się, zmaląła, kolebała już tylko wspomnieniem otwartego morza. Weszli w głąb fiordu.

Część II

PŁONAĆCA ARKTYKA

---



# 1.

---

Pamiętał, że budził się kilkakrotnie i potem ponownie zapadał w mroczną pustkę. Nieśli go... Tak, nieśli... I ktoś powtarzał wciąż dwa słowa: „Opasno, rebiata”. Zapach łądu. Ludzie w białych kitlach. Więc szpital? Próbował otworzyć oczy, ale noc otaczała go nadal. Czuł gorycz w ustach. Usiłował poruszyć ręką, ale obie ręce miał z ołowiu, a w ustach zamiast języka — drewniany kołek. Obudzić się, za wszelką cenę obudzić się!

Teraz zobaczył światło. Mała żarówka u sufitu. Ściany malowane na seledynowy kolor. Jakiś plakat. Napis po rosyjsku „Bądź gotów” i rysunek młodego chłopca. Siady zdjętych obrazów, obok kilka dziur po odłamkach.

Gdzie jestem?

Wtedy zobaczył dziewczynę w bieli. Stała w drzwiach i patrzyła na niego. Potem odwróciła się do kogoś niewidocznego i zawołała:

— Gala, idi siuda! Rozgowori z etim Angliczanom...

Rozumiał, co mówiła. Wzywała jakąś Galę, aby porozumiała się z nim po angielsku, dla niej był widocznie Anglikiem. Spróbował poruszyć językiem i wreszcie wypowiedział to słowo, które od dawna kołatało mu w podświadomości.

— Wody!...

Teraz były dwie. Czyżby widział podwójnie? Ależ nie, ta jedna dość puciołowata, druga szczupła, blada. Która z nich to Gala?

— Mówicie po rosyjsku? A to w porządku. Nie będzie potrzebny tłumacz.

Pił łapczywie, dużymi łykami i czuł, jak wraca mu przytomność. Wtedy zobaczył przyczynę tych ciemności, które tak go prześladowały. Okno

było zabite na głucho deskami, obstawione workami z piaskiem. Dojrzały jego wzrok i jedna z nich odpowiedziała natychmiast.

— Ciemno wam było, prawda? Niech teraz trochę poświeci żarówka, ale potem musimy zgasić. Prąd trzeba oszczędzać. Szyby poszły tu pierwszego dnia wojny i trzeba było zabić okna deskami. Naloty są tu częste. Front, rozumiecie?

— Gdzie jestem? — spytał.

— Gdzie? No, w szpitalu. Kiedyś była tu szkoła, teraz szpital. Położyli was osobno, bo mamy tu jeszcze trochę miejsca, ale przyjdzie więcej statków, będzie na pewno rannych więcej. Jak będziecie czegoś potrzebowali, wołajcie. Zawsze ktoś jest tu obok. Na imię mi Świetłana. Świeta. A to jest Gala. A teraz śpijcie już. Jesteście zmęczeni.

— Chyba dość już spałem...

— Na pewno jeszcze nie dość. Dużo krwi straciliście. No a poza tym tak naładowali was na okręcie morfiną, że obawialiśmy się zatrucia. Ale teraz już będzie dobrze. Operowano was zaraz po przywiezieniu z morza. Wszystkie odłamki wyjęte. Ale musicie leżeć.

— ...ale gdzie jestem?

— Mówiłam już, że w szpitalu. W szpitalu dla marynarzy z zagranicznych statków.

— W jakim mieście?

Spojrzały na siebie trochę zaskoczone tym pytaniem.

— Naprawdę nie wiecie? Słuchaj Gala, chyba nie zdradzę mu tajemnicy wojskowej, jeśli powiem, gdzie się znajduje?

— Chyba nie. Zresztą niech sam odpowie, dokąd płynął.

— No właśnie, dokąd płynęliście?

— Do Murmańska... — odpowiedział i zamknął oczy. Poczł nagle gorczy w ustach. W skroniach rozdzwoniły mu się dzwonki alarmowe.

— No i jesteście w Murmańsku.

Po trzech dniach czuł się lepiej i zawarł bliższą znajomość z obu pielęgniarkami. Powoli przypomniał sobie rosyjskie słowa i próbował budować z nich zdania, kalecząc niemiłosiernie akcent. Wyjaśnił, już, że nie jest Anglikiem, lecz Polakiem z polskiego statku, co zaskoczyło obie Rosjanki, które w cudzoziemcach dopatrywały się głównie Anglików. Potem jednak przybyły nowe partie rannych, wśród których było tyle nacji i tyle odcieni koloru skóry, że Murmańsk można było uznać choćby z tego względu za port wszystkich mórz świata. Do pokoiku Ordona przybył także nowy pacjent, Irlandczyk, który przebywał dłuższy czas w morzu. Miał straszliwe odmrożenia, a przy tym kilka dziur w płucach, niemiecki lotnik strzelał bowiem do tonących. Po dwóch dniach Irlandczyk zmarł, co w jego sytuacji było najlepszym wyjściem, groziła mu bowiem amputacja obu rąk i obu nóg...

Huk artylerii i bomb rozlegał się codziennie o różnych porach. Czasami do szpitala dochodziło tylko dalekie mruzcando, czasami znów warkot silników wypełniał cały pokój, jakby nieprzyjacielskie samoloty latały pod sufitem. Było i tak, że Ordona razem z łóżkiem znoszono do schronu. Potem, gdy próbował już wstawać, brały go pod ramiona dwie pielęgniarki albo dwóch nie znanych mu żołnierzy i sprowadzano go, a właściwie w pół znoszono do pomieszczeń zabezpieczonych lepiej przed odłamkami bomb.

Kiedyś odwiedził go kapitan Saniewicz. Zapewnił, że nie zapomnieli o nim i zabiorą go, kiedy tylko „Kamerun” będzie gotowy do drogi.

— Reperują nam uszkodzenia w stoczni remontowej, ale stocznia zapechana zamówieniami. Chodzi raczej o prowizorkę, aby tylko dopłynąć do Wysp Brytyjskich. Tam się nami zajmą już dokładniej, mają bowiem elementy gotowe, ostatecznie „Empire” to ich taśmowa produkcja. Tutaj muszą to robić specjalnie — mówił Saniewicz.

— Stoicie daleko?

— O, dość daleko! Szkoła, w której urządzono ten szpital, znajduje się właściwie na peryferiach miasta i z dala od portu. To dobrze. Macie szanse na przeżycie nalotów...

— A miasto?

— Zniszczeń dużo. Zobaczysz je pan, jak już wyjdzie ze szpitala. Ludzie twardzi, ale gorzej z bronią, z amunicją. Co przywieźliśmy, to kropla w morzu potrzeb. Mają podobno przyjść naszym śladem większe konwoje. Ano zobaczymy.

— Kiedy spodziewa się pan naszego wyjścia w morze?

— No, jak nas wyremontują i gdy sformuje się konwój. Nie ja o tym decyduję. Chyba dołączą jeszcze jakieś jednostki z Archangielska, jeżeli Morze Białe wolne już od lodów. Wiosna w pełni. Noce coraz krótsze, a i tak w czasie nocy niebo popielate, zmierzch przechodzi w świt. Wkrótce nadejdą prawdziwe białe noce. Słońce nie zajdzie za horyzont, jeżeli w ogóle będzie widoczne spoza chmur.

— Czy nie mógłbym odleżeć ostatnich dni rekonwalescencji na statku?

— Oczywiście, jeżeli tylko zwolnią pana ze szpitala. Pytałem lekarzy, było z panem źle. Ta rana nogi bardzo poważna. Groziła nawet amputacja, ale obecnie niebezpieczeństwo zostało podobno zażegnane. Mają tu także kłopoty z medykamentami. Droga na południe niełatwa, stale pod bombami, a nawet pod ostrzałem artyleryjskim. Daliśmy do szpitala wszystko, czym dysponowaliśmy. A poza tym problemy z aprowizacją... Wy tutaj tego nie odczuwacie, nazywają was sojusznikami i dla was musi być wszystko. Ale w mieście warunki ciężkie. A front tak blisko, że nocą słysząc toczącą się bitwę. Podobno Niemcom wystarczy kilka minut, aby nadlecieć nad Murmańsk. Obrona przeciwlotnicza jednak dość silna i niejedyn lotnik niemiecki z takiego powietrznego podjazdu już nie wrócił.



Saniewicz sypał wiadomościami z frontu i opisywał szczegółowo przygody konwoju w ostatnim rejsie. Na „Kamerunie1' mieli przecież tylko fragmentaryczne wiadomości od wyłowionych z morza rozbitków z „Pameli”.

— Jak pana język rosyjski? — spytał w pewnej chwili Ordon.

— Coraz lepiej. Potrafię już zupełnie dobrze prowadzić rozmowę, ale „udarenje” mam hotentockie.

— Chciałbym mieć już pana na statku. Poza panem i mną tylko bosman Wizajnas umie trochę po rosyjsku, ale jest to bardziej wiązanka polsko-litewsko-rosyjska niż autentyczny rosyjski. A tymczasem ciągle trzeba się z kimś porozumiewać. Tutejszy szef szpitala, a może lekarz dyżurny, obiecał mi, że za tydzień puszczą pana na statek.

— Już próbuję wstawać. Oczywiście o szczudle, które mi tu grzecznie podsuwają...

— Niech pan się nie spieszy. Na szczęście dużo tu jeszcze miejsca. Przyjdą następne konwoje, to będzie zagęszczenie — powtórzył opinię pielęgniarki.

— Spodziewają się większej ilości rannych?

— Spodziewają się zaostrzenia bitwy o Murmańsk. W ogóle wojna weszła w najgorętszą, moim zdaniem, fazę. Niemcy prą naprzód, na Kaukaz i na Wołgę. Jeżeli trwać będzie to dalej, może być krucho. Niełatwa jest także sytuacja pod Leningradem i pod Moskwą, choć wydaje się, że pod Moskwą kryzys już minął.

Po południu rozległ się znów gong i jakiś głos zapiał na dworze: „Wozduch! Wozduch!” „Powietrze” — to było hasło alarmu przeciwlotniczego.

Na dworze waliły już baterie pelot i niósł się grzechot kaemów. Do jego pustej salki zajrzała Świetlana.

— No, poszli, gospodin! Skoro! Skoro!

Przypomniała sobie nagle, że przecież nigdy jeszcze nie ruszał się sam z pokoju, podbiegła więc do łóżka i pomogła mu zejść na podłogę. Potem kazała objąć się za szyję, uchwyciła go w pól i podała szczudło. Kuśtykając podążyli na korytarz, ale w tym samym czasie gdzieś w pobliżu eksplodowała bomba. Przywarli do ściany. Mógł w tym momencie przyjrzeć się z bliska dziewczynie i dostrzegł tor czego nie widział przedtem — była blada, mizerna, miała zmęczoną twarz.

— Jeśli wam trudno stać, oprzyjcie się na mnie — mówiła.

— Nie jest tak źle, Swieta. Już sam mogę się utrzymać. Od jak dawna macie tu naloty?

— Od pierwszego dnia wojny...

— Można się było przyzwycząić.

— Nie, nie można — odpowiedziała niemal gwałtownie i spojrzenia ich spotkały się. — Nie można... — powtórzyła już łagodniej.

Słyszał było, jak po dachu i po ścianach uderzają odłamki pocisków artylerii przeciwlotniczej. Niski, wibracyjny jęk samolotów wybuchł z całą mocą, aby nagle ścichnąć. Tam, na zewnątrz, toczyła się walka.

— Wyglądasz na zmęczoną, Swieta — powiedział do pielęgniarce.

— Nie przejmujcie się mną. Dam sobie radę sama... — odparła dość ostro.

Dziewczyna otarła czoło zroszone potem. Wyglądała teraz już nawet nie na zmęczoną, ale na chorą. Znow jednak zaproponowała, aby się na niej oparł.

— Spróbuję pójść sam. Mam przecież szczudło.

— Wybaczcie mi, ja rzeczywiście dziś nie czuję się najlepiej. Całą noc nie spałam... — skapitulowała nagle. — Moja matka została kilka dni temu

ranna, leży na drugim końcu miasta, w polowym szpitalu. Byłam przy niej długo.

— Czuje się lepiej?

— O szóstej rano musiałam być przy moich rannych. Tutaj... Dobrze, że z wami wszystko w porządku — odpowiedziała wymijająco.

Na końcu korytarza ukazał się sanitariusz i podbiegł do Orдона. Teraz oficer bezceremonialnie oparł się na ramieniu żołnierza i przy jego pomocy zeszedł do schronu. Raz tylko się obejrzał. Spostrzegł wówczas, że Świetlana siedzi w korytarzu na krześle i twarz skrywa w dłoniach. Zanim dotarli do schronu, zobaczyli jeszcze, że w bocznym korytarzu podmuch wybuchu wgniółł do środka deski, którymi zabite było okno i zrzucił worki z piaskiem. Na podłodze, obok rozdartych worków, leżała młoda dziewczyna w wojskowej radzieckiej bluzie. Twarz wydała się Ordonowi znajoma. Tak, to była Gala, z którą zawarł znajomość wkrótce po przywiezieniu do szpitala. Odłamek pocisku liib bomby trafił ją w szyję, przebijając prawdopodobnie tętnicę. Na podłodze utworzyła się sporej wielkości purpurowa kałuża. Żołnierz, który mu pomagał, zostawił go na chwilę pod ścianą samego i zaczął coś do leżącej mówić. Przyklęknął, dotknął jej czoła, nachylił się nad nią, rozpiął bluzę. Potem podniósł się i cicho westchnął, ni to do siebie, ni to do Orдона:

— Zabili ją, sukinsyny... Taką dziewczynę...

W szczelinie pomiędzy resztkami desek, które chroniły otwór okienny, widać było czyste, błękitne niebo i krajobraz oblany słońcem arktycznego, wiosennego dnia.

Atak lotniczy, który nastąpił po wyjściu Saniewicza, stanowił dla Ordon próbę jego możliwości swobodnego poruszania się po szpitalu. Teraz wolno mu już było wychodzić w ciągu dnia o kulach. Siadał potem na ławce przed szpitalem, a czyjeś serdecznie troskliwe ręce otulały go kocem. Gdy świeciło słońce, można było siedzieć na dworze i kontemplować tak długo abstrakcyjne formy obłoków, póki nie odezwał się gong alarmowy albo nie wezwano na obiad.

W czasie tych „kąpieli słonecznych” Ordon pozawierał znajomości z całą różnojęzyczną grupą marynarzy rekonwalescentów. Pochodzili z różnych statków, ale wszyscy liczyli na to, że pozwolą im odpłynąć najbliższym konwojem na Zachód. Traf chciał, że z Polaków był tutaj tylko on jeden. Mówiono mu, że dość liczna grupa jego rodaków przebywa w innym polowym lazarecie, położonym bliżej portu, ale właściwie już go to powinno być mniej obchodzić, zbliżał się przecież dzień końca pobytu w szpitalu.

Odwiędził go w tych dniach kucharz Bzowiec, który przyniósł wiadomość, że „Kamerun” gotuje się do wyjścia. Za trzy dni przyjdą po Ordon, aby zabrać go ze szpitala na statek. Naczelnny lekarz wyraził już na to zgodę, uzależniając ostateczną decyzję od wyników prześwietlenia. Można było jednak przypuszczać, że będą one dobre. Stawiał jedynie warunek, że na statku oficer musi leżeć, że otoczy się go należyta opieką.

Ordon spytał, czy do Murmańska przyszły jakieś polskie jednostki.

— To możliwe — przyznał Bzowiec. — Podobno wpłynęły tu polskie statki handlowe, ale port jest duży i mogli je rozładować w Polarnym, w Siewieromorsku albo gdzie indziej, z dala od nas. A może poszły do Archangielska. Morze Białe już podobno dostępne dla żeglugi. Już lato wygląda zza płotu, panie drugi. W Murmańsku są jednak ranni z polskich okrętów wojennych...

— Tutaj też mi o tym mówiono, ale nikt nie potrafił wyjaśnić, o jakie okręty chodzi.

— Słyszał pan, że przejęliśmy niedawno nowy okręt podwodny od Amerykanów?

— Tak, nazwano go, bodajże, „Jastrząb”...

— No właśnie, i nie ma już „Jastrzębia”...

— Szkopy zatopili?

— Ba, żeby to szkopy!... Znacznie gorzej, panie drugi. Sojusznicy. Anglicy i Norwegowie. Wzięli go za niemiecki U-boot i rozwalili. Dowódca jest ranny i leży gdzieś w Murmańsku, inni także tu albo w Polarnym, a zdrowe chłopcy z załogi są w Wajenga. Czekają tam aż konwoje zabiorą ich do Anglii. Przesiądą się pewnie na jakieś nowe „submaryny” — spolszczył angielskie słowo.

— Ale jak to było możliwe, że ich nie rozpoznano?...

— Ano, sam pan widzi, że wszystko na tej wojnie jest możliwe. Nawet zatopienie alianckiego okrętu przez aliantów. Paskudna historia. Dobrze, że nie było wiele ofiar... Anglików także naszatkowali, w szpitalach ich wszędzie pełno. Ale i tak lepiej im się żyje niż Rosjanom, bo to, co konwoje przywiozą, idzie na aprowizację wyspiarzy.

— To niezbyt piękne.

— Ba, panie drugi, wiele spraw mi się tu nie podoba.

— Na przykład?...

— Wieziemy paliwo, ale na miejscu tankujemy do naszych łajb i angielskich samolotów. Wieziemy amunicję, ale w pierwszej kolejności zaopatrujemy angielskie okręty wojenne. Oczywiście rozumiem: nie ma innego źródła zaopatrzenia. Ale co zostaje dla Rosjan? A tu tymczasem front dwadzieścia czy piętnaście kilometrów od zatoki. Niemcy przecięli linie komunikacyjne do Leningradu. Jedyna kolej pod ostrzałem. Pan wie, co jedzą mieszkańcy Murmańska? Jakie mają przydziały chleba albo mięsa? A zachodnim sojusznikom niczego nie brakuje! Ta sama sytuacja z lekarstwa-

mi... Ale wie pan, co mi mówili w stoczni? Że jeżeli nie pozwoli się Niemcom wziąć Leningradu, Moskwy i Stalingradu, jeżeli trochę się ich na tych pozycjach potrzyma, to pękną...

Bzowiec przyniósł nie tylko nowiny, ale i ulubioną maskotkę Ordon, pluszowego misia. Znalazło się również trochę przysmaków z kuchni statku. Ponadto kok dostarczył Ordonowi — zabrany z jego szafy — mundur wyjściowy oraz kilka sztuk bielizny i różne drobiazgi: maszynkę do golenia, żyletki, butelkę wody po goleniu, chustki do nosa, pastę i szczotkę do zębów... Oficer mógł dzięki temu ubrać się jak na bal, kiedy następnego dnia przewożono go do garnizonowego szpitala, aby dokonać ogólnego prześwietlenia. Jego „duffetcoat” z wielbłądziej wełny poszedł w strzępy od odłamków, ale miał zamiast tego krótką angielską kurtę oficerską. Musiał wyglądać okazale, skoro poproszono go o zajęcie miejsca w szoferce ciężarówki, która krążyła między szpitalami z rannymi.

Nie była to typowa sanitarka, nie miała nawet oznakowań, ale tak naprawdę było to tutaj zbędne. Hitlerowskie samoloty strzelały do tonących i zrzucały bomby na szpitale, czerwony krzyż praktycznie niczego nie ochraniał.

Prześwietlenie wypadło pozytywnie, co jednak nie oznaczało jeszcze końca kuracji. Lekarz, który go prześwietlał, zaproponował mu zabranie laski, którą zostawił jakiś marynarz rekonwalescent. Chętnie skorzystał z tej propozycji, laska była bowiem w obecnych warunkach praktyczniejsza i lżejsza od szczudła, które potem dyskretnie podrzucił w korytarzu.

— Można będzie pana zwolnić pod jednym warunkiem: że znajdzie pan opiekę lekarską na statku i wybije pan sobie z głowy przyjęcie jakichkolwiek funkcji na pokładzie. Musi pan leżeć. Jak najwięcej leżeć. Jeżeli rana zacznie ropieć, jeżeli stwierdzi pan obrzęk i gorączkę, natychmiast alarmować! Pozornie jest wszystko na najlepszej drodze, ale tam, koło kości, coś jeszcze nie w porządku... Jeżeli będzie pan chodził, jeżeli nastąpi znów obrzęk i ropienie, może pan stracić nie tylko nogę, ale życie.

Tak brzmiała opinia lekarza.

Ordon oczywiście zapewnił, że czeka go połowy lazaret na pokładzie i o żadnym przyjmowaniu wacht nie ma mowy. Chciał już opuścić szpital, oglądać niebo przez bulaj i czuć drzenie kadłuba od pracy maszyn. Chciał już płynąć...

Po prześwietleniu i zmianie opatrunku Ordon wyszedł przed budynek o lasce. Kręciło się tam sporo rannych marynarzy różnych bander oraz żołnierzy w burych mundurach. Było ciepło. Nawet tu, pod kręgiem polarnym, wstępujące lato dawało już o sobie znać. Usiadł na jakiejś ławie i obejrzał papiery, które wręczono mu, aby je okazał w szpitalu. Więcej niż pewne było, że zostanie wypisany i powróci na statek.

Jakaś nostalgicznie nastawiona grupa rannych zaczęła pod szpitalnym murem śpiewać „*When the lights go on again*”, a niezadługo odpowiedziała jej inna grupa z przeciwka, nastawiona bardziej frywolnie — „*Kiss me goodnight sergeant-major*”. Ordon wiedział, że przyjdzie zaraz „*This is the Army, mister Jones*”, „*I left my heart at the stage door canteen*” i „*The white cliffs of Dover*”... — piosenki, które zastąpiły starą „*Tipperary*” oraz wstydliwie wycofaną z repertuaru, po dramatycznym odwrocie z Francji, „*The washing on the Siegfried-Line*”. Rozejrzał się, czy nie ma gdzieś Polaków, chętnie posłuchałby innych pieśni, ale wyglądało na to, że był znów tu jedynym przedstawicielem narodu znać Wisły.

W pewnej chwili u wejścia zrobił się ruch, zastopowały jakieś ciężarówki, tym razem z czerwonymi krzyżami na plandekach, i rozśpiewane grupy przerwały swoje pienia. Część podeszła do ciężarówek. Ktoś pokiwał z powrotem.

— Panowie, to ranni z konwoju. Prawdziwe jatki! — zapiął typowym akcentem z Soho jakiś londyńczyk.

Ordon chciał podejść i zobaczyć, kogo przywieźli, ale jakiś ranny żołnierz położył mu rękę na ramieniu i przytrzymał na miejscu.

— Niech pan tam nie idzie. Dziś oni, jutro my. Lepiej cieszyć się widokiem pięknego nieba i ciepłym słońcem.

Oficer przyznał rację. Ranny miał mundur piechoty morskiej, szczupłą twarz, rękę i głowę w bandażach. Polak chciał początkowo spytać, gdzie go tak urządzili, ale zrezygnował. Ostatecznie było to wszystko jedno.

— Pan z tego szpitala? — zagadnął nieznajomy.

— Nie z innego. Polowy. Na peryferiach. Urządzili go w szkole.

— Dużo tam was?

— Nie, niedużo.

— No, to jeszcze go zapełnią. Tutaj już zagęszczenie. Leżą nawet na korytarzach. Z jakiej marynarki? Z polskiej? Tak, poznaję po orzełku. Leży tu dowódca waszego okrętu podwodnego. Podobno zatopili go przez pomyłkę nasi. Wojna to koszmar, proszę pana. A ja byłem tak naiwny, że recytowałem w szkole wiersze Kiplinga o tym, jaki powinien być angielski dżentelmen... Dżentelmen oczywiście ma pójść na wojnę i zginąć za królową lub króla... Nienawidzę tej wojny.

— Nie myśmy jej chcieli. Ja też nienawidzę wojny, ale skoro zostaliśmy napadnięci, nie ma innego ratunku.

— Właśnie. To zasadniczo wasza wojna. Polska wojna. Mogliście dogadać się z Hitlerem i oddać mu ten Gdańsk oraz jakiś tam „korytarz”. Przez was zostaliśmy w to wciągnięci.

— Myli się pan. Gdybyśmy oddali wówczas Gdańsk, Hitler zażądałby Warszawy, a po Warszawie Londynu. Dlatego musimy dziś walczyć. Pan i ja. Nawet gdyby była to tylko kwestia uczciwości wobec siebie, wobec bliższych... I nie są to już patetyczne slogany. Musimy walczyć. Walczyć i zwyciężyć. Rozumie pan? Rosjanie to rozumieją.

— Nikt nie musi. To nie jest moja wojna. Mój jest domek z ogrodem przy Riverside numer cztery. Gdyby nie ta cała heca z Polską, podlewał-



bym dziś ogródek i patrzył, jak wznoszą mi kwiaty. A tak co? — potrząsnął obandażowaną ręką. — Wczoraj amputowali mi dłoń. I jak ja wrócę do domu? Jak przyjmie mnie moja żona? Co jej powiem?

Transport rannych został wyladowany i ciężarówki odjeżdżały. Grupki rannych zaczęły przeredzać się i znikać we wnętrzu budynku. Zbliżała się zapewne pora obiadu. Ordon także poczuł głód. Zaczął wypytywać o ciężarówkę do „jego” szpitala, ale nikt nie wiedział, kiedy taka przyjeżdża. Coś się podobno wydarzyło w porcie i samochód, którym go tu przywieziono, musiał odjechać. Podobno przysły jakieś jednostki z rozbitego przez Niemców konwoju, z mnóstwem nowych rannych.

Gdzieś od zachodu rozpoczęło się basowe dudnienie artylerii. Front dawał o sobie znać. Rozejrzał się dookoła. Plac przed budynkiem szpitalnym prawie opustoszał. Tylko wartownik z karabinem kręcił się przed wejściem. Miejsce, gdzie Ordon pozostawił inwalidę z piechoty morskiej, także było puste.

Pomyślał, że powinien podejść do dyżurki i zapytać o możliwość dotarcia do tego szpitala, z którego został tu przywieziony. Być może przegapił odjazd. W tym tłumie, w tym kontredansie ciężarówek z rannymi, wszystko było możliwe. Nagle usłyszał, że ktoś niepewnie wymówił po angielsku jego imię. Obejrzał się i znieruchomiał, nie będąc pewny czy nie śni. Na placu, niedaleko od Ordon, stała dziewczyna. Wydała mu się znajoma i chyba tylko mundur utrudnił rozpoznanie. Musieli poznać się w innych okolicznościach. Jakich? Ależ tak! Przypomniał sobie nagle oficerską kantinę w Szkocji i całonocne oblewanie zatopienia „Grafa von Spee”. Cholernie dawne czasy! Zaprzyjaźnił się wówczas — na tę jedną noc — z pewnym oficerem Royal Navy. No i była tam jeszcze dziewczyna. Bodajże Rosemary. Tak — Rosemary, a właściwie Rose-Marie. Imię jak z operetki Frimla. Pamiętał nawet arię „Rose-Marie” z filmu z Janette McDonald i Nelsonem Eddy...

— Peter... *Are you really you?* Czy to ty, rzeczywiście ty? — pytała dziewczyna.

— *Yes, it's me, Peter* ;— odpowiedział jej i bardzo chciał podbiec do zjawiska, albo chociaż podejść „sprężystym, marynarskim krokiem”, ale ranna noga unieruchomiła go na miejscu. Wykonał tylko jakiś nieokreślony ruch, zachwiał się i wsparł na lasce.

Pamiętał, że z dziewczyną uciekli z baru — byli oboje solidnie już naszprycowani — i wtedy on pokazał jej, że ma jeszcze w kieszeni płaską butelkę scotcha. zaproponowała, że mogą to zniszczyć u niej, mieszka bowiem obok... To rzeczywiście ona?

— Poznajesz mnie? — pytała.

— Oczywiście, Rosemary.

Była zachwycona jego pamięcią. Podeszła do niego, lustrując całą jego postać i przez dłuższy moment zawieszając wzrok na lasce.

— Dostałeś?

— Trochę. Uczę się właśnie chodzić.

— To już tak dawno, to nasze spotkanie, prawda?

— Tak. Można zacząć liczyć lata... Nie byłaś wtedy w mundurze wrenki\*<sup>1</sup>).

— Dziwne, że mnie zapamiętałeś. Byłeś zalany, a potem, kiedy zegnaliśmy się, także niezupełnie wytrzeźwiałeś.

— Dałaś mi zdjęcie.

— Nośłeś je?

— Tak. Zamiast zdjęcia żony, którego nie miałem. Gdy myślałem o żonie, otwierałem portfel i patrzyłem na ciebie.

---

<sup>1</sup>\* Wrenka — od W.R.N.S. (Women Royal Naval Service — pomocnicza morska służba kobiet w marynarce brytyjskiej).

— Pamiętam, byłeś pijany i mówiłeś mi ciągle o żonie. Masz jakieś wiadomości o niej? Kochaliśmy się, a ty mówiłeś o żonie...

— Nie. Żadnych.

— A moje zdjęcie?

— Także przepadło. Od tego czasu tyle się zmieniło!...

— To jasne. Co tu robisz?

Stali na środku placu przed szpitalem, ale z zabarykadowanych okien nie mógł ich nikt obserwować. Ulica była także pusta. Jedyne wartownik przystanął, ciekawy sceny rozgrywającej się przed nim.

— Oberwałem i lecę się.

— W tym szpitalu?

— Nie, w innym. Czekam właśnie na jakiś samochód, który ma mnie zabrać do mojego szpitala.

— Jesteś w polskiej marynarce?

— Tak, w handlowej.

— Myślałam, że w wojennej.

— Gdybym się wtedy przyznał, że jestem w handlowej, nie wzięłabyś mnie do siebie?

— Chyba nie.

— Więc cię oszukałem.

— Może to ja dałam się oszukać? Mój chłopak był także w wojennej.

— Gdzie jest teraz?

— W „skrzyni Davy Jonesa”, jak mówią u nas. Na dnie. Zatopili go razem z jego okrętem. Dawno. Przestałam płakać. To śmieszne, chciałam

wtedy być z tobą dlatego, że tak ładnie mówiłeś o żonie... Sama siebie nie pojmuję, jak mogło do tego dojść...

— Co tu robisz?

— Jestem właściwie nielegalnie. Wrenki nie zabiera się na operacje bojowe, chyba wiesz o tym. Pierwszym konwojem wracam do Anglii, ale tymczasem jestem maskotką naszych sztabowców. Przyjechałam z Polarnego do Murmańska odwiedzić pewnego rannego wyższego oficera. Chciałam go przetransportować do Polarnego, bo życzy sobie tego nasz Senior British Naval Officer.

— Admirał Bevan?

— To ty zdradzasz tajemnice wojskowe, nie ja.

Nie udało się na początku porwać dziewczyny w objęcia, a teraz już za późno, myślał Ordon. Zresztą kto wie, czy taka Szkotka lub Angielka (przecież nie znał nawet jej nazwiska) doceniłaby to właściwie. Jej zdjęcie nosił do dziś w portfelu, ale bał się przyznać do tego, bo mogłaby zażądać zwrotu. Byli wtedy oboje pijani i w tak wspaniałych humorach! On zdradził wówczas swoją żonę, ona — narzeczonego, ale tak naprawdę to chyba nikt nikogo nie zdradził. Czy ona żałuje tamtego wieczoru? Tego jednego wariackiego dnia?

— Co mogłabym dla ciebie uczynić, Peter?

— Dla mnie? Uczynić? Dlaczego tak dziwnie pytasz, Rosemary?

— Nie wiem. Kiedy cię zobaczyłam, poczułam ścisk krtani. Teraz już przechodzi. Wiesz, myślałam później o naszym spotkaniu. Pamiętasz tę płytę, z tym jednym szlagierem?

— Tak. „*Stormy Weather*”, Pamiętam nawet słowa tej piosenki: „Nie wiem, dlaczego nie ma dziś słońca...” Zgadza się?

— Tak. Chętnie wypiłabym z tobą scotcha z lodem, Peter.

— Ja chyba też.

— Mieszkam jednak daleko. Mieszkam już w ogóle daleko. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem.

— Wracam do portu, ale mogę cię po drodze odwiedzić do tego twojego szpitala. Dobrze?

— Zrobisz mi w ten sposób tę przysługę, o której marzyłaś.

Zaśmiała się. Powoli wracała do codzienności. Przez chwilę czuła się jak w szkole, kiedy kazano jej recytować przydługi wiersz Alfreda Tennysona „Szarża Lekkiej Brygady” i zacięła się w połowie, nie mogąc sobie nic a nic dalej przypomnieć. Potem ktoś jej coś podpowiedział i już reszta poszła gładko.

— Dobrze, Peter. Stój tutaj. Nie ruszaj się. Zaraz podjadę po ciebie.

— Jak to się stało, że zapamiętałaś moje imię?

— Przecież dałaś mi także zdjęcie i to bardzo romantycznie podpisane.

— Masz je jeszcze?

— Niestety, nie! Zgubiłam, tak samo jak ty moje. A teraz już więcej nie pytaj, stój tutaj i czekaj.

Pobiegła za róg budynku, skąd za chwilę wyskoczył jeep z marynarzem brytyjskim za kierownicą. Samochód zatrzymał się koło Ordon, ale wówczas oficer pojął, że i w tej sytuacji za trudno będzie mu wdrapać się samemu na siedzenie. Kierowca— przywykły widocznie do takich sytuacji— wyskoczył z wozu i ujął go pod ramię. Rosemary zeszła na bok i patrzyła na ich wspólne wysiłki. Wydawało się, że chce im pomóc, ale nie bardzo wie, na czym ta jej pomoc miałaby polegać.

Marynarz znał drogę, bo i w tym szpitalu bywał także kilkakrotnie. W kilka minut byli na miejscu, a tam już dwaj radzieccy sanitariusze ujęli go pod ręce i dość łatwo wyciągnęli z samochodu. Wrenka podała mu laskę.

— Dziękuję, Rosemary!

— Trzymaj się, Peter!

Już jej nie było. Jeep ruszył szybko i znikł za rogiem, rozpryskując błoto wielkiej kałuży. Ze szpitala wybiegła Świetlana.

— Położymy was dziś gdzie indziej. Przywieźli kilku poparzonych marynarzy i ulokowaliśmy ich w tym pokoju, gdzie stało wasze łóżko.

— Jutro albo pojutrze przyjadą po mnie. Wracam na statek — oznajmił z triumfem oficer, podając pielęgniarce papiery otrzymane po prześwietle-  
niu.

— Dobrze, dobrze, ale dziś jeszcze połóżcie się...

Dostał spóźniony obiad i po obiedzie zasnął kamiennym snem. Obudził się w porze kolacji. Zanim jeszcze podano jedzenie, sięgnął po portfel i wyciągnął z głębi fotografię dziewczyny, z którą spędził noc i dzień w małym szkockim porcie. „Czy ma pan fotografię żony?” przypomniało mu się pytanie Janoty... „Życie potrafi być bardziej skomplikowane, niż pan przypuszcza!” odpowiedział teraz wyimaginowanemu dyskutantowi. „Nie miałem z sobą wówczas fotografii żony, panie Janota, ale fotografię jedno-  
dniowej kochanki. I ta fotografia łączyła się u mnie z myślami o żonie. Czy może to pan sobie wyobrazić?...”

Potem Ordon przedarł fotografię na pół, złożył, przedarł jeszcze raz i jeszcze raz...

Właśnie zaczęto roznosić zupę.

Następnego dnia od wczesnych godzin rannych Niemcy rozpoczęli wielki nalot na Murmańsk.

Wydawało się, że do ataku na portowy obszar fiordu przeciwnik wykorzystał wszystkie samoloty z baz położonych w północnej Norwegii. Wydzielono w tym celu specjalne eskadry, którym wyznaczono odmienne zadania ataku — z wysokiego pułapu i lotu koszącego, naprowadzając samoloty na cel z kilku kolejnych kierunków. Obserwującemu mogło się zdawać, że w powietrzu panował chaos — maszyny nadlatywały z północy, wschodu i południa, wysoko i nisko, nurkowały nad samym fiordem lub pozbywały się ładunku bomb nad obszarem zabudowanym — bez jakiegokolwiek precyzji. Ale o to właśnie chodziło, o zdezorientowanie obrony, o przerażenie ludności cywilnej, o zadanie ciosów bateriom pelot i obiektom portowym. Bomby zapalające spadały obok burzących. Śródmieście i peryferie, stocznie i nabrzeża znalazły się także pod ogniem karabinów maszynowych.

Piekło rozpoczęło się o czwartej rano. Ostatnie strzały obrony padły około wpół do jedenastej. Późniejsze alarmy dotyczyły już pojedynczych maszyn zwiadowczych, które penetrowały teren nalotu, prawdopodobnie próbując ustalić efekty ataków i zrobić zdjęcia.

Gdy przed jedenastą w południe Ordon wygrzebał się ze schronu — już o własnych siłach, wykorzystując przy tym ofiarowaną mu uprzednio laskę — czuł w powietrzu napór gorącego oddechu pożarów bomb fosforowych, swąd spalenizny ekrazytu. Bure dymy złączyły się z mgłą, która napłynęła od morza, tworząc duszący, mdły „smog”. Trudno było zorientować się, jakie szkody wyrządziło bombardowanie w mieście i na terenach portowych, nad zatoką. W najbliższym sąsiedztwie szpitala ziały czeluście dwóch ogromnych lejów, a odłamki eksplozji podziurawiły deski osłaniające okna, porozrywały worki z piaskiem i urwały na parterze część muru narożnika. Dwie bomby zapalające przebiły dach, ale ogień zlokalizowały drużyny samoobrony. Nie opodal szpitala paliły się wielkim płomieniem

drewniane budynki mieszkalne. Widać było tam biegających dookoła ludzi i jakichś żołnierzy. Potem okazało się, że w ogrodzie, oddalonym zaledwie o sto metrów od szpitala, leży wielka bomba — niewypał. Zanim przybyła ekipa saperów, bombę rozbroili ochotniczo jacyś żołnierze, być może także saperzy innej jednostki, którzy tylko przypadkowo znaleźli się w tym rejonie.

### O stratach ludzkich w rejonie szpitala

Ordon nie dowiedział się nic, ale na placu przed szpitalem odnalazł kałuże krwi. Gdy pytał o ich pochodzenie, pielęgniarki wzruszały tylko ramionami.

Ordon nie zdziwiło, że tego dnia nie zjawiono się w szpitalu, aby zabrać go na statek, ale gdy nie przybył nikt z „Kamerunu” za dwa i za trzy dni, sytuacja stała się dość kłopotliwa. Wtedy właśnie zaczęły do fiordu wchodzić jednostki z konwoju PQ-16. Szpital zapełnił się rannymi, brakowało łóżek, a nawet prycz. W salach pierwszego piętra rozlokowano dużą grupę polskich marynarzy z „Garlanda” i z ich ust Ordon dowiedział się o całym dramacie przejścia przez Morze Barentsa. Okręt był bardzo uszkodzony, utracił połowę załogi. Część poległa, a część trafiła do szpitali w Murmańsku.

— Niech pan nie pyta. To było straszne... — odpowiadali niektórzy z marynarzy, gdy zbyt natrętnie próbował wydobywać od nich szczegóły bitwy o przejście do portów radzieckich. Bliższych szczegółów zaczęli udzielać, gdy i on napomknął o konwoju, w którym płynął, oraz gdy poinformował ich o tym, że w Murmańsku są także marynarze z zatopionego „Jastrzębia”. O zatopieniu okrętu podwodnego nie wiedzieli była to dla nich nie lada sensacja.

Wiadomości ze świata, które w tym czasie docierały do rannych, nie były dobre.

Na Atlantyku szły na dno setki tysięcy ton żeglugi handlowej całego świata, Rommel stał u wrót Kairu, Japończycy atakowali na szerokim fron-



cie w dżunglach Birmy opanowywali wyspy na oceanie. Podobno Niemcy parli na Stalingrad i stali już na przedpolach Kaukazu. Co będzie, jeżeli dojdą do pól naftowych Azerbejdżanu? Nie umiano na to pytanie odpowiedzieć. Czy wojska radzieckie znajdą taką siłę, aby tę żelazną lawinę powstrzymać?

Polska wydawała się im coraz bardziej daleka, coraz bardziej osnuta mgłami, jak całe Morze Barentsa, kurzące parą, gdy ostatnie krople wody Prądu Zatokowego spotykały się z krą lodową Arktyki. Ktoś z rannych miał ze sobą gazetę z Londynu dał Ordonowi. W tej gazecie przeczytał o tym, co działo się aktualnie w kraju. W Polsce szalał terror hitlerowski na skalę, która wydawała się niemożliwa do przeżycia przez naród. Gazeta informowała egzekucjach, wysiedleniach, osadzeniach w obozach śmierci. Kogo zastaniemy w kraju nad Wisłą, gdy tam wrócimy i jeżeli wrócimy? pomyślał oficer.

Potem przyszła wieść — dla niego, w aktualnych warunkach — najstraszniejsza.

„Kamerun” — już wyremontowany i niemal gotów do drogi — został w czasie wielkiego nalotu na Murmańsk trafiony bombą poszedł na dno. Statek stał wówczas przy nabrzeżu wyposażeniowym, a bomba trafiła nie w sam statek, ale w dno kanału portowego, tuż przy nabrzeżu. Dzieła zniszczenia dokonała eksplozja podwodna. Największe uszkodzenia odniosła rufa, ale dotyczyły one także części maszynowni. Nikt z załogi nie został zabity, jedynie dwóch dostało rykoszetami odłamków czy też pocisków z karabinów maszynowych. Jakiś niemiecki lotnik przeleciał nad tonącym frachtowcem siejąc jeszcze pociski na ewakuującą się załogę.

Saniewicz interweniował natychmiast u miejscowego dowództwa brytyjskiego, prosząc, aby nie skreślać jednostki z rejestru, jako zatopionej. Była uszkodzona i należało ją wyciągnąć. Pomost nawigacyjny część nadbudówek znajdowały się ponad lustrem wody, statek nie leżał więc głęboko. Poza tym nie uderzył silnie w dno kanału, chyba nie odniósł więc większych uszkodzeń. Kapitan żądał nurków... Ale stocznie były zavalone za-

mówieniami, a sprzymierzeńcy brytyjscy zbywali go stwierdzeniami o konieczności hierarchizacji potrzeb, w której pierwszeństwo miały okręty wojenne. Pomogła jednak znajomość rosyjskiego i uprzednio już nawiązane dobre kontakty ze stoczniovcami radzieckimi. Ostatecznie, bez aprobaty ze strony dowództwa brytyjskiego, sami radzieccy stoczniovcy znaleźli czas na skierowanie pod wodę swoich nurków, którzy zbadali dno statku orzekli, że uda się transportowiec załatać na tyle, aby podnieść go na powierzchnię. Saniewicz omal nie oszalał z radości.

O tym wszystkim dowiedział się Ordon w satelitarnej miejscowości Murmańska, położonej na trasie między głównym portem a Siewieromorskiem, gdzie umieszczono w przejściowym baraku rekonwalescentów ze szpitala polowego, kierowanych na statki-lazarety. Tam właśnie znalazł go Bzowiec, obiecując przyjechać po niego „pierwszą okazją”, aby zabrać do innego baraku, w którym ulokowano załogę „Kamerunu”. Ale ostatecznie Ordon sam znalazł taką okazję w dziesięć dni później był już na nabrzeżu, przy którym zatonął statek. Jakież było jego zdziwienie, gdy nie zastał tam nikogo z załogi, a nawet również... statku.

Ekipa radzieckich nurków — pracując w dzień i w nocy — przeprowadziła remont dna statku. Okazało się, że dzieło zniszczenia dokonane przez bombę nie było tak wielkie. Natomiast woda, która wtargnęła do środka, przedostała się do całego kadłuba przez nieczynny wówczas i otwarty system pomp — właśnie znajdujący się w remoncie... Statek nie był więc wrakiem. Pływał! Odholowano go gdzieś w okolice basenów remontowych stoczni. Załoga była na pokładzie.

Ordon chodził jeszcze o lasce, ale coraz pewniej. Wydawało mu się, że ostrzeżenia lekarza w szpitalu były przesadzone. Znajomość języka rosyjskiego i galowy mundur oficera marynarki ułatwiały mu poruszanie się nawet bez kontroli dokumentów. Ostatecznie udało mu się znaleźć ciężarówkę odchodzącą z nabrzeża do stoczni. Tam jednak wydał się wartownikom podejrzany, ale patrol Floty Północnej doprowadził go do placówki brytyj-

skiej, a stamtąd umożliwiono mu dotarcie na „zmartwychwstały” — jak o nim mówiono — statek.

Dzień i noc trwały tam prace porządkowo-remontowe, aby doprowadzić do stanu używalności te wnętrza, które całkowicie znalazły się pod wodą.

Gdy Ordon zameldował się na pokładzie wróconego życia transportowca, dowódca omal nie ucałował go z radości. Zachowywał się zresztą tak nietypowo, mówił tak swobodnie i z taką swadą, że trudno było rozpoznać w nim dawnego mruka z pomostu nawigacyjnego.

— Zapomnieliśmy o panu w tym całym zamieszaniu! Zupełnie zapomnieliśmy! Ale teraz spada nam pan jak z nieba! Zaraz pójdziemy omówić wszystko szczegółowo...

Co takiego należało omówić, dowiedział się oficer w jakiś czas potem, nakarmiony przez Bzowca, którego kuchnia już działała, i po odwiedzeniu swej kabiny. Kabina przedstawiała widok smutny i śmierdziała zgniłą wodą, typowym zapachem kanału portowego. Ktoś już zrobił tu trochę porządku i oficer posądzał o to Bzowcar ale należało jeszcze wiele włożyć pracy, aby nadawała się do mieszkania. Tymczasem spać miał na poziomie pomostu nawigacyjnego, na suchym sienniku z trawy morskiej dostarczonym przez radzieckich stoczniovców. Powiesił na ścianie misia, odkręcił bulaj i poszedł do kabiny kapitana.

Ucierpiała ona znacznie mniej niż jego kabina i bez strachu o zamoczenie spodni spoczął na fotelu naprzeciwko dowódcy.

— Panie Ordon, w panu nasza cała nadzieja.

— We mnie?

— No, niech pan to sobie uświadomi! Zna pan język rosyjski! Ja znam wprawdzie także, ale muszę pozostać tutaj. Ktoś musi natomiast koniecznie pojechać do Archangielska w sprawach remontu. Może to być tylko pan.

— Do Archangielska?

— Zaraz to panu wyjaśnię. Tutejsi stoczniowcy robią wszystko, co mogą, co leży w granicach ich możliwości. Nie mogę od nich wymagać więcej. W przyspieszonym terminie wyremontowali statek po poprzednich uszkodzeniach, a teraz, mimo że Anglicy nie ruszyli palcem, żeby nas poprzeć, załatali nam dziurę i podnieśli statek. Pan nie wie, ile kosztowało to pracy i materiału! Ludzie zatrudnieni są tu po czternaście, szesnaście godzin na dobę. Niestety, brakuje części, wysiadają elektrody przy spawaniu... Kontakt z Archangielskiem jest utrudniony, wszystkie drogi lądowe są pod ostrzałem artyleryjskim. Niemcy za wszelką cenę starają się zdobyć Kandalakszę i odciąć cały półwysep Kola, łącznie z Murmańskiem. A jednak...

— A jednak udało się panu, kapitanie, kogoś przekonać, że jesteśmy ważniejsi od Brytyjczyków, co?

— Wie pan, oni wierzą w to, co widzą. A widzą, że krwawimy tu razem z nimi.

— Wnioskuje z tego, co pan mówi, że mam udać się do Archangielska po brakujące części dla „Kamerunur”?

— Owszem, panie Ordon. Jak pan wie, największe szkody odniosła rufa statku. Obiecali dać nam nowy trzon i pióro steru. Gorzej jest ze skrzywionym wałem śruby, ze śrubą, z pękniętą piastą pochwy wału śrubowego. Jest jeszcze kilka innych poważnych uszkodzeń w maszynowni. A tymczasem w Archangielsku mają jakiś wrak statku typu „Empire”, przyholowany po ataku na konwój. Wrak skreślony już z listy floty. Po prostu złom. Ale — tak między nami — statek ma urwany dziób. Rufa w porządku, śródkręcie — jakoś się trzyma. Rozumie mnie pan? Ten statek to kopalnia części wymiennych! Obiecano mi, że co się da ściągną z Archangielska, a co będzie można, zrobią mi na miejscu.

— Trochę jakby kazali nam wierzyć w cuda.

— Patrząc na tych ludzi, zaczynam wierzyć w cuda.

— Ale jaka będzie moja rola w tym dziele?

— Otrzyma pan wszystkie dokumenty i pojedzie pan po odbiór niezbędnych części dla „Kamerunu”. Mam już wszystko omówione: do Kandalakszy pociągiem albo ciężarówką, z konwojem wojskowym. Tam pana dostawią do komendanta portu. Dalej popłynie pan na holowniku do Archangielska i z częściami dla „Kamerunu” — z powrotem. Być może będzie to duży holownik albo holownik z barką — wówczas kto wie, może zdarzy się, że „słońce zaświeci i na naszej ulicy”, jak tu mówią, i bezpośrednio z Archangielska wróci pan do Murmańska. To jedyna możliwość szybkiego dostarczenia części. Musi pan robić wszędzie ogromnie ważną minę, jakby chodziło o remont admiralskiego pancernika, a pan był co najmniej wiceadmirałem. Mundur ma pan tak piękny, że może to się panu udać...

Ordon nie poznawał kapitana. Nigdy jeszcze w życiu nie słyszał Saniewicza mówiącego w ten sposób. Albo nie znał swego dowódcy, albo pod wpływem sytuacji uległ on jakiejś przedziwnej metamorfozie. A może po prostu to miłość do powierzonego mu statku, walka o jego życie za wszelką cenę (bo przecież każdy statek żyje na swój sposób), pozbawiała go oschłości, sztywności i apodyktyczności, z czego znany był we flocie. Zwłaszcza ta aluzja do munduru — jako argumentu zdobycia części do statku — zabrzmiała tanio, małostkowo, śmiesznie.

— Kiedy radzi mi pan wyruszyć?

— Jutro otrzymam wiadomość, jak sprawy wyglądają w Archangielsku i Kandalakszy. Jeżeli stoją dobrze, wyruszy pan natychmiast.

— Nie bierze pan pod uwagę stanu mojego zdrowia, kapitanie. Sam pan mi mówił, że groziła mi amputacja. Mam jeszcze opatrunki, kuleję, chodzę o lasce. Ostrzegano, że jeżeli nie będę leżeć, mogą nastąpić komplikacje.

— Nie sądzę, żeby pan musiał wiele chodzić. Ale ma pan oczywiście prawo odmówić. To nie rozkaz. To prośba...

Nie, nie miało sensu przekonywać kapitana, że jego pomysł jest wątpliwej natury. A może podpowiedzieć, żeby jechał Janota? Przecież to właśnie najbardziej odpowiedni człowiek...

— Panie kapitanie, proszę jednak wziąć pod uwagę, że moja wiedza o konstrukcji statku jest wiedzą nawigatora. Mogę wypełnić zadanie na tyle, na ile szczęście mi dopisze, to znaczy przywieźć części, które może tylko wzbogacą magazyny miejscowej stoczni, natomiast nie przydadzą się „Kamerunowi”. Namawia mnie pan do ryzykownej misji. Prawdę mówiąc odpowiedzialność, jaką mnie pan obarcza, nie pozwala mi...

Saniewicz nie dał mu dokończyć.

— Panie Ordon! Gdyby wszystko odbywało się zgodnie z tymi zasadami, o jakich chce mi pan tutaj mówić, „Kamerun” byłby już cięty na złom, a w najlepszym razie na części, które miałyby pójść na remont brytyjskich statków klasy „Empire”, a ucierpiały w czasie nalotów. Oficjalnie uznano nas za wrak. Fakt, że jesteśmy tu, na statku, że siedzi pan w mojej kabinie — to tylko zasługa naszej wyobraźni i wyobraźni stoczniowców, którzy zgodzili się z nami, że „Kamerun” będzie żył. Więcej wiary, panie Ordon! Więcej wiary w siebie i w innych...

Kto mówił mu już raz, że należy mieć wiarę w ludzi? Ach, to Bzowiec, kiedy rozmawiali o żonach marynarzy i o marynarzach wierzących w oczekujący ich na końcu podróży spokojny i szczęśliwy port.

— Dobrze, panie kapitanie, pojedę. Pojedę i zrobię, co będę mógł — odpowiedział.

Część III

HOLOWNIK „GAJDAR”

---

# 1.

---

Ordonowi port w Kandałakszy przedstawił się mglisty i błotny, pełen wojska, sprzętu wojennego, lejów od bomb i zgliszcz. W porcie stało niewiele okrętów i statków, głównie małe jednostki. Ale mimo tak frontowego charakteru, ruch był tu duży, stąd bowiem wiodła jedyna lądowa droga — na północ do Murmańska, a na południe do Archangielska.

Oficer, którego opiece powierzono w Murmańsku Ordon, przekazał go do „rąk własnych” jakiegoś siwego, starszego oficera marynarki w dowództwie portu. Nakarmiono go tam, poczęstowano papierosem z samosiejki i w towarzystwie bosmana Floty Północnej skierowano na nabrzeże. Co wydało się Ordonowi objawem pozytywnym — nikt nie był zaskoczony jego przybyciem, nikt nie wyrażał obaw, czy jego misja ma jakiś sens, czy uda mu się w ogóle dostać do Archangielska. Wydawało się, że sprawa została już przez kogoś z góry załatwiona.

Starszy oficer z dowództwa portu wyjaśnił mu, że zaokrętowany zostanie na holownik „Gajdar” i prawdopodobnie na tym samym holowniku tu



wróci. Oby wszystko składało się dalej tak samo cudownie, jak na samym wstępie tej eskapady!

Bosman, który prowadził go na wybrzeże, nie był rozmowny i nieufnie spoglądał na jego obcy mundur. Mimo to jednak upewnił się po drodze, czy oficer ze sprzymierzonej marynarki jadł śniadanie i czy dla jego chorej nogi (Ordon podpierał się bowiem laską) nie idą za szybko. Potem wyraził przypuszczenie, że widoczna nad portem mgiełka wkrótce zgęstnieje i że w takim mleku żaden diabeł ich nie wytropi, a co dopiero hitlerowski samolot. Ordon z niecierpliwością i zainteresowaniem oczekiwał holownika, na którym miał przemierzyć ten arktyczny akwen białych nocy. Wreszcie ciekawość jego została zaspokojona. Znaleźli się na miejscu...

— Cudo to nie jest, ale ma za to taką załogę, z którą dalibyście radę dopłynąć na sam biegun — zarekomendował marynarz.

Istotnie, cudo to nie było. Holownik mógł pamiętać jeszcze czasy carskie. Był niewielki, raczej bazowy niż pełnomorski, z mocarnym dziobem — w sam raz do stawienia czoła krze lodowej — przechodzącym około linii wodnej w typowy dziób lodołamacza, przypominający wielką łyżkę. Nadbudówki posunięte były ku dziobowi, a na samym dziobie tkwił zamontowany niedawno dwulufowy, sprzężony ciężki karabin maszynowy. Komin był wysoki, dość wąski i solidnie osmalony. Ten komin głównie nadawał statkowi archaiczny wygląd, ale chyba konstruktor wiedział, dlaczego tak go właśnie projektuje. Maszt dla sygnałów i rozpięcia anteny usytuowany był nie za, lecz przed pomostem, który pełnił funkcje sterówki. Od śródkręcia do rufy było dość dużo wolnego miejsca — tam znajdowała się szalupa, a właściwie mały bacik, tam także było urządzenie windy holowniczej i mały kran. Długość statku sugerowała, że w jego wnętrzu może znajdować się także spora ładownia. Być może więc był to typ jednostki dość uniwersalny, spełniała ona zapewne rolę kabotażowca na małym akwencie białomorskim, a w razie potrzeby holowała barki i drewno, spławiane w dół Północnej Dwiny. Na pokładzie można było także ułożyć wiele ładunku, pomyślał Ordon. Pomieszczenia załogi znajdowały się w nad-

budówkach i schodziły aż pod pokład, o czym świadczyły buła je w burcie statku. Siła maszyn? No cóż, mogła być dość znaczna, nawet powyżej stu pięćdziesięciu koni mechanicznych, biorąc pod uwagę funkcję lodołamacza, jaką spełniała na tych wodach każda tego rodzaju uniwersalna jednostka. Odpryski farby wskazywały na to, że nadbudówki holownika malowane były kiedyś dość jaskrawo. Trochę czerwieni, trochę bieli... Obecnie jednak całość pokrywała skorupa ochronnej barwy, zmieszana z czernią i autentyczną, własną sadzą.

— I jak wam się podoba? — spytał uśmiechając się marynarz.

— Holownik jak holownik... — mruknął Ordon.

— O nie, to nie taki sobie zwykły holownik. Znają go na wszystkich brzegach Morza Białego. Nazywa się „Gajdar”. A oto i kapitan statku...

Ordon machinalnie przyłożył dłoń do daszka na widok postaci, która wyszła ze sterówki.

— Witajcie! — krzyknął marynarz. — Prowadzę wam sprzymierzeńca...

— Witajcie, Iwanie Walentinowiczu — odpowiedział dowódca holownika. — Martwiliśmy się, że już nie przyjdziecie. A tymczasem pogoda piękna. Wyjść trzeba zaraz, póki mgła.

Ordon spostrzegł wówczas, że dowódcą jednostki jest kobieta. Było to dla niego zjawisko niezwykle, mimo że ostatnio przywykł do niezwykłych zdarzeń. Miała na sobie marynarską wатовaną kurtkę, nazywaną tu „kufajką”, i futrzaną czapkę-uszatkę, z tym, że klapy zakrywające uszy były zapięte na czubku czapki. Nosila spodnie wpuszczone w walonki, w sumie był to więc typowy strój marynarski dla tego akwenu.

— Macie zezwolenie na wyjście. Ruszajcie zaraz. Hasło znacie, odpowiecie więc, jak zapytają koło Lesozawodzka. Ruszajcie zaraz. Polecenie Siemiona Siemionowicza.

— Dziękuję, Wania. A sprzymierzeniec zna trochę rosyjski?

— Prawie jak Rosjanin...

— No to będzie wesoło. Bądźcie zdrowi!

— Bywajcie, Tania!

Tania? A więc Tatiana — wyrozumował Ordon, schodząc nie bez trudu z dość wysokiego pomostu na pokład. Jej bystre spojrzenie zarejestrowało moment, kiedy skrzywił się z bólu.

— Ordon. Piotr Ordon... — przedstawił się w chwilę później, ściskając dłoń kapitana holownika „Gajdar”. — Z polskiej marynarki handlowej, ze statku „Kamerun”.

— Tyle u was złota na mundurze, myślałam, że sam admirał — odpowiedziała kobieta i dodała zaraz: — Dowódca holownika „Gajdar”, Morozowa.

— Taniusza Morozowa... — uzupełnił wesoło jakiś tęgi marynarz, wyglądający z maszynowni, na co kapitan małego statku nie zareagował.

Ile mogła mieć lat? Chyba około trzydziestki. Dość szczupła, smagła od wiatrów i słońca. Usta pełne. Oczy niebieskie. Włosy? Sądząc z kosmyków wylazających spod czapki — blond. Dopiero teraz odwróciła się w stronę marynarza, który wylazł z maszynowni.

— Poznajcie się, to Leonid Michajłowicz Borodkin. W jego ręku nasze życie w czasie rejsu. Mistrz od gotowania polarnej grochówki.

Spojrzały mu prosto w twarz dobroduszne oczy, umieszczone w owalnej facjacie.

Kolejno poznał: zastępcę dowódcy, szturmana, głównego sternika i telegrafistę w jednej osobie, chyba podchodzącego ku sześćdziesiątce albo już ją mijającego — Witalij a Władimirowicza Biełokunowa i dwóch młodych marynarzy — Aleksandra Aleksandrowicza Wałuckiego, o zaczep-

nym spojrzeniu awanturnika, i Iwana Amdermanowa (tu Ordon nie dosłyszał wymienionego przez Morozową „otczestwa”), krępego, niskiego i skośnookiego osobnika, z wyglądu przypominającego Eskimosa.

— Nasz Waniusza Amdermanow to Nieniec, a Nieńcy to autentyczni władcy Arktyki, od Zatoki Mieżejńskiej do Karskich Wrót — pospieszyła z wyjaśnieniem Morozowa.

I to już była cała załoga „Gajdara”. Trochę zaskoczył Ordon ten obrządek wzajemnej rekomendacji, ale potem pomyślał, że przy tak małym składzie osobowym ma to swój sens. Ostatecznie z tymi ludźmi będzie przecież współżyć przez dłuższy czas, może więc w ten sposób jego pozycja gościa zostanie zamieniona na pozycję równoprawnego członka małej społeczności?

— Rzeczy zostawcie w kabinie Witi Władimirowicza, to jest u towarzysza Bielokunowa. Tam macie także koję — mówiła, wskazując na trzymany przez niego neseser. — Widzę, że macie laskę, to taka moda w waszej flocie? Dodaje godności? — zaśmiała się, ale nie zabrzmiała w tym ani jedna nutka złości. Starła się chyba utrzymać nastrój bezpośredniości, który panował na małym stateczku.

— Niemiecka bomba... — wyjaśnił, wskazując na nogę. — Trafiła mój statek tuż przed Murmańskiem. Leżałem wiele tygodni w szpitalu.

— A statek?

— Cała nadzieja w tym, że w Archangielsku dadzą nam to, co obiecali.

— U nas wielkich odległości nie ma, nie będziecie więc mieli kłopotu z chodzeniem po pokładzie. A jeśli zechcecie, możecie cały rejs przeleżeć. Idźcie już do swojej kabiny, potem mi wszystko opowiecie. Bardzo możliwe, że będziemy także razem wracać. No, a wy, chłopcy — zwróciła się do marynarzy, co zabrzmiało trochę dziwnie, biorąc pod uwagę, że niektórzy „chłopcy” mieli około sześćdziesiątki — na stanowiska! Zaraz odbijamy!

Mini-kabina zastępcy z trudem pozwalała się poruszać jednemu człowiekowi i Ordon nie wyobrażał sobie, jak zmieszczą się tam razem z Biełokunowem. Ale koje były rzeczywiście dwie. Miał zamiar wyjść na pomost nawigacyjny, czyli do sterówki holownika. Tymczasem jednak postanowił przeczekać moment odbicia, aby nie pętać się niepotrzebnie po pokładzie. Słyszał komendy nakazujące luzowanie cum rufy i dziobu, słyszał dzwonki telegrafu maszynowego, przekazujące rozkazy do maszynowni, gdzie czuwał Biełokunow i gdzie Amdermanow albo Wałucki sypali węgiel w palenisko. Czuł potężną wibrację kadłuba, nie wątpił, że w tym małym ciele stalowych konstrukcji jest potężna siła starych, ale sprawnych wciąż jeszcze maszyn.

Zajrzał do swojego neseseru, w którym miał kilka zmian bielizny, papierosy i przybory toaletowe. Napotkał uśmiechniętą mordkę pluszowego misia.

— No, z ciebie prawdziwy już Bohaterski Miś — mruknął. — Jeszcze trochę, a napiszę o tobie powieść. A po wojnie umieszczą cię w muzeum historycznym...

Nie wyjął jednak kukły z neseseru, zostawił ją owiniętą w bieliznę. Wydobył natomiast paczkę papierosów.

Przetarł szybę bulaja i dostrzegł oddalający się brzeg i zacumowane statki. Dość szybko ich kontury stały się płynne, niewyraźne i zginęły w mleku mgły. Usłyszał charakterystyczny zgrzyt kry o burzę... Kra o tej porze?

Kiedy holownik wszedł na właściwy kurs, Ordon wygramolił się z kabiny. Poczul na policzkach powiew Arktyki. Tuż za rufą polatywało pięć czy sześć mew, umykając kłębowi czarnego dymu, buchającym z wysokiego komina. Morze było spokojne, słabiutki wiatr spiętrzał tumany waty otwierając raz po raz przed dziobem przestrzenie zupełnie wolne od mgieł. Kilka razy „Gajdar” dał sygnał syreną, prawdopodobnie otrąbiając

swoje wyjście w morze płosząc mewy, które wkrótce znów powróciły, zniżając się do bryzgów pianistego kilwateru.

Nagle uczył czyjeś dotknięcie przy nodze. Trochę go to zaskoczyło i przeraziło, ale zdziwienie odpłynęło natychmiast, kiedy spojrzął w dół i jego wzrok napotkał parę poczciwych ślepiów, ukrytych w kudłatym pysku. Był to biały, kosmaty pies, bliżej nie określonej rasy. Gdy Ordon popieścił go przy karku, kundel wywalił wielki, różowy jęzor i zaczął wesoło merdać kikutem ogona.

Oficer odnalazł wejście do sterówki i otworzył drzwi. Stała tam sama Morozowa.

— Pozwolicie wejść?

— Oczywiście, Piotrze... a jak wasze „otczestwo”?

— Ojcu było na imię Stanisław — pospieszył z wyjaśnieniem.

— A więc zapraszam, Piotrze Stanisławowiczu! Wejdźcie! — spojrzała na niego i uśmiechnęła się. — Jak widzicie, nasz „Gajdar”, może niezbyt okazały, w płucach mu świszczę, ale leci jak młodziak...

Za Ordonem wgramolił się pies. Oficer chciał zamknąć przed nim drzwi, ale kundel był szybszy.

— Wyrzucić go? — zapytał Morozową, wskazując na psiaka, który usiadł w kątku.

— Zwierzęta trzeba kochać... — powiedziała Morozowa. — A ten tutaj należy w dodatku do załogi. Lubi siedzieć w sterówce. Może nauczę go prowadzić holownik? To nic trudnego. Na imię ma Dżim.

— Dżim? — spytał ze zdziwieniem.

— A wy myśleliście, że Miszka albo Saszka, co? A znacie to? „Daj łapę, Dżim, na szczęście łapę podaj,

— Nie, nie znam.

— Napisał to Jesienin — wyjaśniła Morozowa. — Wiersz nazywa się „Psu Kaczałowa”.

Kiwnął głową, udając, że wie, o kogo chodzi, choć nazwisko poety usłyszał po raz pierwszy. W szkole nie mówiono nigdy o współczesnych rosyjskich poetach.

— Przez pamięć o Jesieninie nazwaliśmy go Dżim — dokończyła. — Recytowałam to w szkole, ale nie przypadło do gustu mojemu nauczycielowi. Z Jesienina był kiedyś kawał chuligana. No, ale i kawał poety... Nieprawda?

Znów przytaknął, spojrzął na nią i uśmiechnął się także. Nie potrafił podjąć tego tematu, a niezręcznie było mu przejść od razu do spraw, o które zamierzał spytać.

— Rozgościliście się już w kabinie Biełokunowa? — pytała. — Ciasno tu, ale ciepło i swojsko. Dobrze, że z was żaden mruk, choć i rozmowni za bardzo nie jesteście. Ale nasze szczęście takie, że nawet Anglicy trafiają się weseli, a przecież to znani ponuracy. Ostatnio holowaliśmy uszkodzoną korwetę brytyjską do Archangielska. Potem przyszedł podziękować ich dowódca. Otwarta dusza, niczym Słowianin. A wy przecież Polak — zaśmiała się do swoich myśli. — Dowcipny był ten Anglik, nie macie pojęcia! No, a nasz „Gajdar” zataszczył jego okręt, gdzie trzeba. Okręt nazywał się „Wilk Morski”. Jak u Londona.

— „Seawolf”?

— Znacie go?

— Ta korweta osłaniała nasz konwój.

— Dawno weszliście do Murmańska?

— W kwietniu...

— No, to dawno. Ten Anglik pęta się teraz po Archangielsku.

Chwilę milczała, z czego skorzystał Ordon, aby zadać jej dość konkretne pytanie.

— Czy będę więc wracał na „Gajdarze” do Kandałakszy?

— Do Kandałakszy albo nawet do Murmańska. Zależy od tego, jaki będzie ładunek i jakie polecenie.

— Ale przecież „Gajdar” to holownik bazowy. Dacie radę dojść do Murmańska?

— Teraz piechota zastępuje nawet artylerię, ścigacze krążowniki, to może holownik bazowy być jednostką pełnomorską. Wojna czyni cuda. Trzy razy już prowadziłam „Gajdara” do Murmańska i to holując barki. Trzeba iść wzdłuż brzegów. W razie nalotu osłania wówczas artyleria z lądu i lotnictwo. Najważniejsze minąć Światoj Nos, to taki przylądek na półwyspie Kola. „Gajdara” już dwa razy Niemcy topili, w Kandałakszy i Siewierodwinsku. Nie było głęboko i przy pomocy nurków statek został wydobyty, potem odremontowany i chodzi jak zegarek.

Wibracja stała się nierównomierna i Morozowa wymieniła przez rurę głosową kilka zdań z maszynownią. Mgła rzedła i z prawej burty ukazał się zarys lądu. Niedaleko burty ominęli dwie boje sygnalizacyjne. Potem wyskoczył nagle zza jakiegoś cypla ścigacz albo raczej motorówka. Do sterówki wgramolił się Biełokunow, meldując, że w maszynowni wszystko gra, ciśnienie w kotłach nie spada, a wachtę przy palenisku trzyma Amdermanow. Robili osiem do dziewięciu węzłów, co świadczyło sprawności bazowego weterana. Biełokunow pytał, czy ma pogadać z tymi na motorówce, ale Morozowa odparła, że sama to załatwi, wzięła do ręki tubę i uchyliła drzwi sterówki z prawej burty. Pies Dżim śmignął na pokład i zaczął wesoło szczekać.

— Dowódca statku, jak tam u was? Wszystko w porządku? — pytano z motorówki.



— Wszystko w porządku. Kurs na Archangielsk. Pięciu ludzi załogi, bez ładunku. Mamy pasażera. Cudzoziemiec.

— Podajcie jego narodowość.

— Polak. Piotr Stanisławowicz Ordon. Zlecenie z Murmańska.

— Wiemy, wiemy... No, Taniusza, dobrych wiatrów i szczęśliwej drogi!

— Pozdrówcie towarzysza Wagaranowa!

— Pozdrowimy, Taniusza!

— Do zobaczenia!

Była to mieszanka zwrotów służbowych koleżeńskich, a szeczekający u burty i wesoło merdający ogonem Dżim dodawał temu obrazkowi idyllicznego charakteru. Ordon mógł przekonać się na własne oczy, że „Gajdar” i jego kapitan to statek i osoba dobrze zdomowieni na tym akwenie.

Spotkali dwa lub trzy kutry rybackie i kilka łodzi. Morozowa oznajmiła oficerowi, że znajdują się na trawersie portu Po jako wda, cały czas trzymając się południowych wybrzeży zatoki.

— Wieczorem minimy wyspy Iwanowe Ludy i wejdziemy na otwarty obszar morski — mówiła. — To najbardziej niebezpieczny dla nas odcinek drogi, tracimy wtedy osłonę od strony lądu. Kiedy panuje tu autentyczna noc, nie jest tak źle, ale przy białych nocach hitlerowscy lotnicy przeprowadzają samotne rajdy patrolowe i z reguły atakują każdą małą jednostkę, nawet łódź rybacką... No, ale na razie z prawej burty mamy Wybrzeże Karelskie. Tam są nasi. Czuwają.

Poczuł nagle gwałtowny ból w nodze. Skrzywił się, syknął i oparł o ścianę sterówki.

— Boli was noga?

— Boli. Nie jest jeszcze zupełnie zagojona.

— To połóżcie się w kabinie. A po drodze podejdźcie do Borodkina. Zupa już pewnie gotowa.

— Grochówka?

— Jeżeli mówił o grochówce, to wymyśli coś innego. Krupnik albo rybna. Leonid Michajłowicz potrafi nawet z gwoździa zrobić zupę... Słyszę, że śpiewają, to znaczy obiad gotowy.

Pokuśtykał, ponieważ i on czuł już głód. Wygramolił się ze sterówki i wówczas posłyszał zawodzące dwa głosy. Za kominem siedział Borodkin z Wałuckim. Obok stały puste menażki. Głosy mieli potężne, ale obecnie dołączał przez otwarte iluminatory z kotłowni także głos trzeci, Amdermanowa.

Na widok Ordon pienia umilkły, a Borodkin podniósł się, zapraszając oficera do zajęcia miejsca.

— Mesy, panie oficerze, u nas nie ma, prosimy więc do restauracji pod chmurką. Na wolnym powietrzu jedzenie lepiej smakuje. A obiad wspaniały. Zgadnijcie, co będzie dziś na obiad?

— Grochówka?

— Nie zgadliście! Zupa rybna, z rybim tłuszczem i rybim mięsem. Ale jak przygotowuje Borodkin, poprosicie o dolewkę.

Wkrótce Ordon mógł przekonać się o prawdzie tych słów. Była to istotnie zupa-znakomitość. Wałucki wziął dwie pełne menażki i zaniósł Morozowej i Biełokunowowi. Zostali sami z kucharzem.

— A wy dawno wojujecie? — pytał Rosjanin.

— Od początku. Już trzeci rok. Zacząłem w trzydziestym dziewiątym.

— Pamiętam. Pisali o tym w gazetach. Wałucki wiele o tym opowiadał.

— Wałucki?

— Pochodzi z Białorusi. Gdzieś spod Grodna. A wasza rodzina?

— W Polsce...

— Znaczy na ziemiach zajętych teraz przez Niemców?

— Tak.

— Moi rodzice mieszkali w Smoleńsku. Tam teraz także Niemcy. W domu rodzinnym Wałuckiego, na Białorusi, również Niemcy. Bielokunow pochodzi z Archangielska, a więc on ma jeszcze dom nie splugawiony przez wroga. Dwaj jego synowie na froncie, trzeci poległ. A u Morozowej...  
— zatrzymał się i spojrzał bystro na Ordoną. — A może was to wszystko nie obchodzi?

— Nasz los jest podobny, Leonidzie Michajłowiczu — odpowiedział, używając imienia i „otczestwa” swego rozmówcy. To tamtego udobruchało.

— Właściwie macie rację. Co zaś do Morozowej, to męża jej wzięli na Ładogę, kiedy organizowano tam transport przez jezioro do Leningradu. Drogę życia. Zaginął. Nie ma śladu. Może jest w Leningradzie, a poczta stamtąd nie idzie, może ciężko ranny, może w niewoli, może poległ... Wszyscy wiedzą o dramacie Morozowej, ale nikt o nic nie pyta, nikt o jej męża przy niej nie mówi. Wszyscy ją jednakowo kochamy i wszyscy jej współczujemy. To wspaniała kobieta!

— Od kiedy pływa na „Gajdarze”?

— Od czasu, gdy wyszła za męża za Borysa Morozowa. Razem tu mieszkali, razem pływali. „Gajdar” operował w delcie Północnej Dwiny przy spławie drewna, często wychodził na morze. Oboje mieli wspaniałą praktykę pływania, zwłaszcza w czasie gdy po Białym Morzu wędrują pola lodowe. To dzięki niemu ona zrobiła dyplom szypra śródlądowego, a potem patent na holownik bazowy. Ale była formalnie jego zastępcą. Kiedy wzięli go na Ładogę, towarzysze z zarządu portu postanowili zostawić na tym stanowisku Morozową. Wtedy jeszcze nie myślano, że wojna przyjdzie do Arktyki, że trzeba będzie pływać aż do Murmańska i to pod bombami. Mo-

rozowa zdała egzamin w tych najtrudniejszych dniach i chociaż gdzieś tam ktoś oponował, ostała się jako dowódca na „Gajdarze”...

Umilkł i zaczął skręcać papierosa. Podszedł do nich pies i zaczął łaścić się u nóg. Ordon zaproponował Rosjaninowi amerykańskiego camela. Zapalili. Pies usiadł naprzeciw, spoglądając raz na jednego, raz na drugiego swymi zawiadkami ślepiami.

— No i jest jeszcze Amdermanow — podjął temat kucharz. — Jego rodzinne „czumy”, jak nazywają się tam ni to chaty, ni to szałas, stoją gdzieś na Wybrzeżu Timańskim. Bliżej ujścia Peczory. Daleko... To przecież Nieniec.

— Nigdy o takiej narodowości nie słyszałem.

— No to mało słyszeliście. Dawniej nazywali ich Samojedami. Dzielni ludzie Północy, myśliwi i hodowcy reniferów, ale także rybacy. Mają teraz własny okręg autonomiczny, własną narodową władzę, własne szkoły...

— Nigdy o nich nie słyszałem.

— Chyba o wielu tutejszych sprawach jeszcze niewiele wiecie — zaśmiał się Borodkin. — A jak wasza noga?

— Trochę boli. To odłamki z bomby. Groziła amputacja. Podobno jest już lepiej.

— Powinniście się położyć. Nie można żartować z takimi ranami. Od hitlerowskich odłamków rany się nie chcą często goić, zdarza się gangrena...

— Tak zrobię. Położę się. W nocy nie spałem, jechałem w konwoju ciężarówek z Murmańska.

— No to przyjemnych snów, Piotrze Stanisławowiczu. Mogę tak do was mówić? Słyszałem, jak Morozowa rozmawiała z tymi ze straży i zapamiętałem.

— Oczywiście, Leonidzie Michajłowiczu — odpowiedział, uśmiechając się. Polubił familijną atmosferę panującą na holowniku i wydawało się, że powoli załoga akceptowała także jego obecność. — Spróbuję przenieść się we śnie w świat bez wojny...

— Ten dawny, czy ten, który nastanie?

— Chyba ten, który dopiero nas czeka!

## 2.

---

Zbudził się bardziej zmęczony niż wypoczęty. Przez bulaj sączyła się poświata popielatego światła. W kabinie było gorąco, właściwie duszno. Gdzieś tu musiał przebiegać przewód z kotłowni, który nawet w warunkach zimy arktycznej pozwalał nie marznąć w kabinie. Było to wprawdzie wczesne lato arktyczne, ale i tak za ciepło na podobne ogrzewanie. Kiedy jednak otworzył drzwi, prowadzące z kabiny wprost na otwartą schodnię, poczuł uderzenie zimnego wiatru. Fala była większa, szła z północnego wschodu, a więc od cieśnin, a zarazem od oceanu.

— Dobrze się spało? — spytał go Wałucki po polsku.

— Nienadzwyczajnie. W kabinie trochę za gorąco.

— Wygląda na to, że noc nie będzie ciepła. Zresztą jaka tam noc! Pływał pan kiedyś pod tymi szerokościami?

— Tak. W atlantyckich konwojach, między Kanadą i Szkocją. Koło Grenlandii potrafi być o tej porze bardzo zimno, mimo że Gofsztrom odczuwa się tam bardziej. Zwłaszcza kiedy zjawi się góra lodowa, wtedy temperatura nagle spada.

Rozgadał się o pogodzie, aby uniknąć rozmowy na inne tematy, ale Wałuckiego naszedł aktualnie moment zwierzeń i nie wy-

dawało się możliwe za długo trzymać się tematu gór lodowych.

— Wie pan, ja chodziłem do polskich szkół...

— Słyszałem. Gdzie pan mieszkał?

— Niedaleko Grodna. Cała nasza wieś to sami Białorusini, ale białoruskiej szkoły w mojej wsi nie było. Polskie władze nie pozwoliły... Za to nauczyciel bardzo porządny człowiek. Nie było tego w programie, a on na lekcji polskiego z własnej inicjatywy czytał nam białoruskie poezje Janka Kupały.

— Nauczyciel był Białorusinem?

— Nie, Polakiem. W trzydziestym ósmym go odwołali. Może właśnie za to. Miał rację, kiedy mówił nam, że są różni Polacy i różni Białorusini. Ale czy mogą być różni Niemcy? Jak pan myśli?

— Sądzę, że tak.

— No to dlaczego taki lotnik hitlerowski nie przyleci nad morze, nie wyrzuci wszystkich bomb na jakąś głębinę, a potem wróci do swoich i mówi: „wszystko załatwione, zbombardowałem, co kazaliście”.

— Na pewno niektórzy z nich wierzą w to, co robią. Wierzą w całą tę ich zatrutą nienawiścią propagandę... A inni? Inni po prostu boją się nie wykonać rozkazu, a nawet ujawnić, co ich w środku gryzie. Kiedy Hitler dochodził do władzy, byli przecież i tam tacy, którzy otwarcie wypowiadali swoje poglądy, nie zgadzali się z faszystami. Część z nich gryzie dziś ziemię, a część siedzi w obozach...

— Ja też tak myślę. Nie chce mi się wierzyć, żeby wszyscy byli zatruci nienawiścią. Gdyby tak było, człowiek straciłby resztę wiary w ród ludzki. No nie?

— Chyba racja...

— Kiedy pan spał, słychać było daleki warkot silników. Szła pewnie dwusilnikowa maszyna. Poznałem po dźwięku... Jak coś nadleci, u nas na „Gajdarze” alarmu nie ma, po prostu statek robi zwroty jak baletnica, raz na lewo, raz na prawo. A ja biję wówczas z naszych dwóch luf. Wtedy nie zastanawiam się, co myśli ten, który prowadzi maszynę. Zaatakowali nas kiedyś koło Archangielska, ale grzali do Niemców równocześnie z lądu i z okrętów Floty Północnej. Stracili dwa samoloty, mój udział w tym był skromny albo żaden. A strzelam dość celnie. Trzy miesiące przeszkolenia... Czy długo będziemy stać w Archangielsku?

— Trudno przewidzieć.

— Mam tam dziewczynę na dworcu. Pracuje w bufecie. Dawniej sprzedawała „czaj”, teraz rozdaje „kipiatok”, wrzącą wodę... Ech, przekłeta wojna!

Podszedł Borodkin. Skinął na Ordoną, odciągnął do kuchni, a następnie uraczył go smażoną w oleju wspaniałą oceaniczną rybą.

— Nasi rybacy łowią mimo nalotów — wyjaśnił. — To z Kandalakszy. Wszyscy łowią. Nawet małe pędraki. Mówią, głód nam niestraszny, bo w morzu, w jeziorach i rzekach ryb wciąż jeszcze mnóstwo. A pewnie, że mnóstwo, mówię. Czego jak czego, ale ryb to nam hitlerowcy nie wybiją! A północne wody obfite w ryby. Więcej tu ryb niż w Morzu Czarnym. I większe... I smaczniejsze... Z chlebem u nas teraz źle, z ziemniakami źle, mięsa mało, ale ryby są. No i zapasy grochu. Zgromadzili tyle, że wojna może jeszcze rok trwać. Dlatego jeżeli u nas nie ma ryb lub zupy rybnej, jest grochówka.

Horyzont pojaśniał, widoczność stała się bardzo dobra. Szare kontury w oddali, z prawej burty, okazały się Wyspami Sołowieckimi, gdzie — jak objaśnił kucharz — znajdują się zabudowania słynnego ongiś na całą Rosję prawosławnego klasztoru.

— Niedługo zobaczymy ląd, a potem już czeka nas droga pod osłoną Letniego Wybrzeża, jak je nazywają, aż do samego Archangielska...

Wiatr przyniósł nagle wibracyjne — wzrastające, to znów niksące — mrużando silników. Spojrzeli po sobie, potem zostawili jedzenie i wyszli na pokład. Czyżby to leciał ten samolot, o którym mówił Wałucki? Dostrzegli mały punkcik. Z bocznych drzwiczek sterówki wychyliła się Morozowa uzbrojona w potężną lornetę. Wałucki pobiegł na dziób i stanął przy sprzężonych karabinach maszynowych.

— Ano, rebiata — krzyknęła nagle potężnym głosem Morozowa. — Alarm! Alarm!

Wszystko, co nastąpiło potem, odbyło się błyskawicznie. Wałucki zgrabnie, kilkoma ruchami, pozbawił swoje karabiny maszynowe pokrowca, a kucharz Borodkin otworzył pudło z bębniami amunicji. Już załadowali. Już marynarz brał na cel Niemca.

Samolot leciał tymczasem wciąż po wielkim łuku, jakby zamierzał przyjrzeć się samotnej jednostce z bezpiecznej odległości. Był to dwusilnikowy messerschmitt — maszyna bardzo szybka, zwiadowcza, używana niekiedy również jako lekki samolot bombardujący, a nawet do walk powietrznych.

Kudłaty Dżim wylazł z jakiegoś zakamarka i jeszcze trochę zaspany poddał się ogólnemu nastrojowi. Przywarł na dziobie, niedaleko kaemu, i zaczął warczeć, podnosząc łeb ku górze.

Z kabiny wygramolił się Biełokunow, chwilę popatrzył na niebo, po czym zniknął w maszynowni. Słyszeć było, jak wydaje polecenia czuwającemu tam Amdermanowowi.

— Trzymajcie się, chłopcy — zapiąta ze sterówki Morozowa. — Idziemy w taniec!

Przerzuciła szprychy koła sterowego i nagle holownik zmienił kurs o dziewięćdziesiąt stopni. Dostali nieprzyjemną boczną falę i wyraźnie statek zaczął dryfować. Nowy skręt koła rzucił go jednak na poprzedni kurs. Z



komina waliły gęste, czarne kłęby dymu, jakby Biłokunow zamierzał postawić zasłonę dymną.

Samolot dalej schodził w dół szerokim łukiem. Ordon zrozumiał nagle, że to już nie są przygotowania do penetracji samotnej jednostki, ale do ataku z lotu koszącego.

Niemiec zeszedł już na wysokość zaledwie kilkunastu metrów nad poziomem morza i atakował. Wałucki otworzył ogień w sam pysk dwusilnikowej maszyny. Ordon przywarł do ściany nadbudówki. Głupio się czuł, że nie ma właśnie w takiej chwili żadnego przydziału. Spostrzegł, jak pociski niemieckie drą poszycie pokładu, potem grzmot przewalił się ponad jego głową i wielki czarny ptak naznaczony krzyżami oddalił się ku horyzontowi.

Spojrzał w stronę stanowiska kaemu i zobaczył tam samotnego Borodkina. Nie namyślając się wiele, pokuśtykał na dziób. Wałucki leżał nienaturalnie skrzyżony, oparty o nadburcie. Całą pierś miał w krwawych strzępach. Boczna fala, wdzierająca się co chwila na pokład, omywała go kaskadami wody, która natychmiast zabarwiała się purpurowo i spływała dalej na pokład. Nie opodal leżał także pies — albo raczej to, co było psem — biały kłębek sierści, z którego uleciało życie. Dookoła pokład poszedł w drzazgi, a bryzgi krwi znać było aż na nadbudówce.

Ordon zajął pozycję przy kaemach — znał doskonale tę broń — i spokojnie ustawiał sobie cel. Samolot tymczasem wyszedł w boczny wiraż i gotował się do następnego ataku. Potem zaszedł na holownik od rufy i runął do natarcia. Ale właśnie „Gaj-dar”, prowadzony sprawną ręką Morozowej, wykonał gwałtowny zwrot. Pilot poderwał maszynę ku górze... W tym momencie Ordon wpakował całą serię w kadłub i prawe skrzydło. Strzelał nawet wówczas, gdy samolot przeszedł w wiraż. Wyszedł nagle z niego na prostą, ale już w innym kierunku. Co tam mogło się dziać w kabinie messerschmitta? Może był ktoś ranny? Może stwierdzono uszkodzenia? A może pilot jedynie „przy okazji” zaatakował holownik, a kiedy napotkał tak

zajadłą obronę, po prostu doszedł do wniosku, że nie ma sensu wiązać się w ostrą walkę? Dość że wziął kurs na zachód. Linia frontu była niedaleko.

Morozowa krzyknęła na Bielokunowa, aby wyłaził z maszynowni i stawał przy sterze, a gdy ten zajął miejsce w sterówce, pobiegła na dziób. Borodkin i Ordon klęczeli nad ciałem Wałuckiego. Nie ulegało wątpliwości, że śmierć nastąpiła natychmiast. Ordon widywał już różne śmierci, ale tą był wstrząśnięty. Morozowa uknęła obok zabitego. Na twarzy Wałuckiego nie było widać bólu, raczej wyraz zdziwienia.

Potem Ordon z Borodkinem nasunęli na karabiny maszynowe pokrowce i wyciągnęli z dziobowego luku deski, z których zbili coś w rodzaju nar. Na tym twardym posłaniu położyli ciało. Borodkin przyniósł kurtkę marynarską, którą zakrył pierś Wałuckiego, a następnie białe prześcieradło.

Morze było względnie spokojne. Wiatr osłabł, a fala łamała się martwym przybojem, przygnanym gdzieś z Oceanu Lodowatego.

— Dziękuję wam, Piotrze Stanisławowiczu — powiedziała Morozowa do Ordonu. — Właściwie bez mojego zezwolenia stanęliście przy karabinach maszynowych, ale kto wie, może któraś z waszych kul dosięgła tego latającego gada.

Śmieszne wydało się oficerowi to jej zaakcentowanie samowolnego zajęcia miejsca Strzelca przy kaemach. Nie było chyba celu wyjaśniać jej teraz, że był to odruch naturalny. Chodziło może o co innego — był gościem na statku. Ale czy rzeczywiście gościem? Czy walka na tym pokładzie nie należała także do jego obowiązków? Postanowił później na ten temat porozmawiać. Nie chciał być traktowany jak pasażer.

Zwłoki psa zaszyto w brezentowy worek, który obciążono jakimś niepotrzebnym żelazem z dziobowego luku. Kiedy wrzucano worek do wody, Morozowa gwałtownie odwróciła się i odeszła do swojej kabiny.

— To był ich pies. Jej i jej męża Borysa — szepnął Ordonowi do ucha Borodkin. — Ona go przyniosła na pokład, kiedy Dżim był jeszcze szczeniakiem. I to był jej pomysł, żeby psa nazwać Dżim.

Na Morze Białe zsunęła się peleryna mroku. Chociaż minął już okres białych nocy, widoczność mimo pomroki była dobra. Wkrótce z prawej burty napłynęły fioletowe kontury lądu, Letnie Wybrzeże, jak je nazywano, z małymi portami: Łopszenga, Piertomińsk, Sołza. Potem dopiero zaczęła się delta Północnej Dwiny.

Tego przejścia już Ordon nie oglądał. Spał.

Zbudził się, gdy wchodzili do Siewierodwińska...

### 3.

---

Po przybyciu do Archangielska Ordon robił wszystko, co polecił mu kapitan Saniewicz — chodził gładko ogolony, w bielutkiej koszuli, wyszczotkowanym mundurze, wyczyszczonych i lśniących butach. Prowadził konwersację w angielskim i rosyjskim ze swadą dyplomaty, pozawierał wiele znajomości. Krótko mówiąc, zachowywał się jak admirał z pewnej operetki, który ma zamiar załatwić coś dla swego krążownika. Na nic jednak przydałyby się te wszystkie chwytły, gdyby nie szczerą chęć niesienia mu pomocy i gdyby rzeczywiście nie ów wrak „Empireła”, który znajdował się w trakcie demontażu. Gesty admirała z operetki przydały się jednak w klubie marynarskim, gdzie poznał kilku wygalonowanych Anglików. Spił z nimi kilka butelek „scotcha” i dali mu w efekcie niezbędne dokumenty, bez których miałby kłopoty z wywiezieniem części do Murmańska. O otrzymaniu dodatkowej barki nie było mowy, ale Morozowa twierdziła, że na pokładzie stateczku oraz w jego niewielkich ładowniach wszystko się zmieści.

Razem z załogą „Gajdara” Ordon wziął udział w pogrzebie Wałuckiego. Przyszedł tłum ludzi, a wśród nich grupa komsomolców z floty handlowej i żeglugi na Północnej Dwinie. Nastrój był podniosły i Ordon poczuł, że pod koniec uroczystości oczy mu zwilgotniały.

Kiedy tu przybyli, wydało się, że nie postoją długo w ujściu Północnej Dwiny, ale czas oczekiwania na demontaż i załadunek zaczął się jednak przedłużać.

W wolnych chwilach Ordon odwiedził marynarzy z okrętu podwodnego „Jastrząb” czekających na wyjazd z Archangielska do Anglii, a szukając po szpitalach, znalazł także rannych marynarzy z niszczyciela „Garland”. Ci opowiadali chętniej o przejściu konwoju PQ-16 niż ich koledzy spotkani w szpitalach Murmańska. Być może — z perspektywy czasu — ogień walki już nie parzy, a słowa nie jętrzą zagojonych ran? Ale z tych relacji Ordon wysnuł dodatkowy wniosek, że przejście przez Morze Barentsa staje się coraz trudniejsze. Ciekawy był, czy wróci tu jeszcze z Zachodu, nie wątpił bowiem, że po prowizorce remontowej w Murmańsku „Kamerun” pójdzie chyba na dłuższy pobyt do jednej ze stoczni szkockich, a wtedy kto wie, czy nie skierują go na jakiś statek idący znów w konwoju do Murmańska.

Nastroje wśród polskich załóg w Archangielsku nie były dobre. Wynikały one z dramatycznych wiadomości napływających z innych frontów oraz z niezbyt jasnej gry rządu londyńskiego wobec radzieckiego sojusznika, co stawiało Polaków w dość dwuznacznej sytuacji. Wycofanie wojsk polskich ze Związku Radzieckiego przez Andersa i przerwienie na Bliski Wschód komentowano w sposób bardzo różny, zgadując nawet, gdzie w końcu wojska te zostaną skierowane. Mówiono o możliwości rychłego otwarcia nowego „drugiego frontu” w Grecji, właśnie przy pomocy Polaków, ale brzmiało to dość fantastycznie. Grecja, jak i całe Bałkany, to nie był teren dla rozwinięcia ofensywy.

Gdyby nie obecność licznych patroli w mieście i ciągłe sprawdzanie dokumentów — zapewne w obawie przed niemieckimi dywersantami — Ordonowi nie pozostawałoby nic innego w wolnych chwilach, jak tylko

spacerować. Jednak spacery stały się wkrótce dla niego także udawką. Zastanawiał się, czy pójść do lekarza, ale bał się, że lekarz zapakuje go wówczas do łóżka. Tymczasem trzeba było jeszcze doglądać załadunku i demontażu, no i popłynąć w drogę powrotną. Do łóżka pójść dopiero na „Kamerunie”, mówił sobie, zaciskał zęby i kontynuował coraz rzadziej marsze z portu do stoczni, a ze stoczni do klubu alianckiego. Chodził o lasce, co wzbudzało zainteresowanie, ale i szacunek, i gdyby nie rzeczywista potrzeba tej laski, można by ją było uznać za część tej gry, którą „dla dobra sprawy” zalecał mu kapitan Saniewicz. Coś niedobrego działo się z nogą, nie ustępował bowiem obrzęk i rana nie goiła się. Potem od Anglików wyzbrał jakieś środki antybólowe. Dzięki nim w obecności Morozowej mógł robić wesołą minę i udawać, że z nogą jest „coraz lepiej”.

Szli kiedyś ulicą zroszoną letnim deszczem, pełną kałuż i błota. Jeźdźnią wędrowały jakieś oddziały żołnierzy, pewnie z ćwiczeń. Niosły się echem tak typowe piosenki, intonowane przez „zapiewajkę” i kończone potem przez cały chór. Mijały ich zabłocone ciężarówki z młodymi rekrutami. Miasto oddychało wojną, żyło frontem...

Spytała go wtedy o dom, żonę, rodzinę — jej zdaniem sprawy bardzo ważne w życiu. Najważniejsze. Mówiła na te tematy niewiele, ale niewątpliwie obecne były one stale w jej myślach.

— Nie opowiadałem wam dotąd, Tatiano, nic o sobie, ale to nie znaczy, że nie mam nikogo. Mam żonę w Polsce. Tam są teraz Niemcy. Próbowałem skontaktować się z żoną, z jej rodziną, mimo wojny są bowiem na to sposoby. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Pobraliśmy się tuż przed wybuchem wojny, trzy lata temu. Zaledwie miesiąc byliśmy razem...

— Wyobrażam sobie, Piotrze Stanisławowiczu, jak bardzo tęsknicie do dnia, kiedy wrócicie do domu, jak bardzo czekacie na tę chwilę...

— Czekam, ale sam nie wiem, czy ten ktoś, z kim mam się zobaczyć, to właśnie moja żona, czy też ktoś znany mi bardziej z filmu albo z książek. Rozumiecie mnie? Żeby czekać, trzeba mieć wyraźny obraz ukochanej

osoby przed oczami, trzeba odczuwać stałą obecność kogoś, oddalonego nawet o tysiące mil. A zarówno obraz ten, jak i to uczucie kształtują wspólne zimy i jesienie, lata i wiosny. Wspólne radości i smutki. Ja natomiast mam do zapamiętania tylko jeden letni miesiąc. Tylko uśmiechy, bez łez. No i trochę nedorzecznych marzeń... Rozumiecie mnie? — powtórzył jeszcze raz. — Obraz ukochanej osoby złożony jest zawsze z okruchów codzienności. Nie może to być nigdy olejny portret w złotych ramach... A poza tym... poza tym wy macie podobno tu, w Archangielsku, dzieci. Macie wasz wspólny dom i wasze drzewa za oknem. Macie ulice waszego miasta, po których chodziliście kiedyś razem. Chyba nawet gwiazdy polarnego nieba, pod którymi się całowaliście. A co ja mam?

— Może ona ma to wszystko tam, w Polsce... — odpowiedziała niepewnie. — Ona... Wasza żona...

— Nie, bo z miasta, w którym mieszkała, większość Polaków została wysiedlona, rozumiecie? Wyrzucona... Dokąd? Nie wiem. Chyba ona także znalazła się wśród wysiedlonych. Szukałem więc kontaktu z rodziną, ale niczego się nie dowiedziałem. Wiem tylko, bo tych wiadomości nikt mi nie oszczędził, że w Polsce aresztują masowo ludzi, mordują, pędzą do obozów...

Może nie być już ani naszych ulic, ani drzew, ani domów. Świat obrócił się do góry nogami. Inny był ten „nasz świat” latem 1939 roku i inny jest teraz. Jak więc mają wyglądać te moje myśli o niej? I jak jej myśli o mnie?

— Pietia, a może wy po prostu nie kochacie? Może to już nie miłość? A zresztą, pomyślcie, czy dom, w którym mieszkałam razem z Borysem, może mieć jakiś wpływ na to, żeby bardziej wierzyć w jego powrót, albo czy spacer ulicą, po której razem chodziliśmy, ma mieć jakiś wpływ na to, aby bardziej go kochać? Wierzcie mi, często lżej mi jest przebywać w miejscach obcych, tu bowiem, w Archangielsku, odczuwam jego nieobecność. Chodzi o coś innego, o wiarę w powrót ludzi drogich. Wiarę do końca. Do końca... Do momentu, aż zobaczę go na drodze do naszego domu, jak

otwiera furtkę ogrodu, jak macha mi ręką na powitanie. Albo... do momentu, kiedy przyjdzie ktoś, nie wiem kto: może kolega, może jego dowódca, a może po prostu listonosz, i powie, że... zresztą wiecie, co w takich sytuacjach mówią... Ale, jeżeli taki moment nie nastąpił, Borys żyje i jest obecny w moim życiu. Całkowicie!

Podniosła głos, niemal krzyczała, aż jakiś robotnik, który ich mijał, obejrzał się, przystanął i pokręcił głową.

Ordon nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie chciał wykrzyczeć swoich racji...

Rozstali się na skrzyżowaniu ulic. On poszedł jeszcze tego samego dnia do klubu aliantów, gdzie wysłuchał koncertu orkiestry Floty Północnej. Grano „Fale Amura” i „Na sopkach Mandżurii”, to w każdym razie rozpoznał, często bowiem obie melodie nadawano przez szpitalny radiowęzeł w Murmańsku. Po koncercie skorzystał z okazji i z pewnym Szkotem wypił pół szklanki oryginalnej whisky „White Horse”. Pili bez lodu i nawet taka ilość uderzyła mu do głowy.

Następnego dnia — w przeddzień odbicia — został zaproszony do Morozowej na obiad. Dom, w którym mieszkała razem z rodzicami, stał na wysokim wzgórzu nad rzeką, otoczony był wątlym ogrodem. Budynek drewniany, stary, budzący u Orдона skojarzenia z oglądanymi gdzieś ilustracjami, a może urywkami filmów z kanadyjskiej Północy. Pod okapem, koło drzwi okien oraz na szczytach spadzistego dachu wiele było ornamentów, wyciosanych — jak objaśniła Morozowa — siekierą, własnoręcznie przez jej dziadka. Drewno było kiedyś jaskrawo malowane, ale obecnie farba poodpadała, a belki i deski poszarzały.

Wnętrze było przytulne. Chatka miała cztery pomieszczenia — obszerną kuchnię z ogromnym kominem i autentycznym „przypieckiem” i „napieckiem” oraz trzy izby mieszkalne: pokój rodziców Morozowej — Iwana i Natalii Orłowów, drugi — przeznaczony dla dzieci, ośmioletniej Oksany i pięcioletniego Witi, oraz trzeci, który ongiś był chyba głównym, sto-

łowym, ale obecnie spała tam na tapczanie Tatiana. W pokoju dzieci — bo Ordon oprowadzono po całym domu — wisiał portret Morozowa w mundurze marynarskim oraz duże zdjęcie Tatiany i Borysa nad Newą. Oboje byli bardzo wówczas młodzi i zdjęcie musiało być zrobione albo w okresie narzeczeństwa, albo w miesiącu miodowym, na pierwszym wspólnym urlopie. To był zapewne ich dawny pokój małżeński.

Na przyjęcie to poszły co najmniej dwa spore kurczaki. Podano również ryby, przyrządzone z grzybkami w galarecie, jajka w sosie chrzanowym, dla każdego spory talerz gorącego barszczu z uszkami, bigos, no i litr czystej, chyba popularnego samogonu, wówczas specjału ogromnie kosztownego. Był to więc obiad jak na ówczesne warunki — wspaniały!...

Ale też audytorium było liczne — prócz obojga rodziców, prócz Tani i Ordon, przy stole zasiadał jeszcze Bielokunow z „Gajdara” i skośnooki Amdermanow. Borodkin — jak oświadczyła Tatiana — został na ochotnika na wachcie, ale zastrzegł sobie, że muszą mu przynieść na statek porcję ryby w galarecie. Przy stole znalazł się jeszcze jakiś oficer czy urzędnik z miejscowego zarządu żeglugi i — co było zupełnym zaskoczeniem dla Ordon — brytyjski oficer. Nazywał się ów oficer Robert Webb był dowódcą okrętu „Seawolf”, korwety, którą do Archangielska przyholował właśnie „Gajdar”.

Morozowa знаła trochę angielski ze szkoły, ale główny trud podtrzymania rosyjsko-angielskiej konwersacji spadł na barki Ordon, co po trzech kieliszkach wódki szło mu już całkiem nieźle.

— Właściwie cały nasz przyszły rejs do Murmańska znajdował się już pod znakiem zapytania — zakomunikowała nagle oficerowi Morozowa, palaszując udko kurczaka. — Taki stateczek jak nasz nie ma prawa chodzić za daleko samodzielnie, a w dodatku wychodzić na otwarty ocean! — Miała zapewne na myśli Morze Barentsa.

— A jednak wypłyniemy? — zapytał Ordon.



— Tak, ale to zasługa tu obecnego dowódcy okrętu brytyjskiego. Pan Webb ma już korwetę sprawną i jutro wychodzi w morze. Idzie do Murmańska. Zobowiązał się konwojować i ochraniać „Gajdara”. Admiralicja brytyjska wyraziła zgodę, nasze dowództwo również i tak oto wyjdzie jutro najmniejszy konwój, jaki oglądały te wody: korweta Jego Królewskiej Mości „Sea-wolf, i holownik archangielskiej żeglugi, „Gajdar”.

— A więc już jutro?

— Tak. Jutro... Nie zdążyłam wam o tym powiedzieć, bo decyzja zapadła dziś. Nie będziecie mogli zobaczyć się już z waszymi polskimi i angielskimi przyjaciółmi w Archangielsku.

— Trudno mówić o przyjaźni, zawarłem po prostu kilka znajomości, przelotnych jak spotkania okrętów na morzu. A jeżeli chodzi o termin odbicia od brzegu, to możemy odpływać nawet dziś. Kiedy będziemy w Murmańsku?

— Za trzy, cztery dni, jak dobrze pójdzie.

— Jak dobrze pójdzie... — powtórzył jej słowa. — A może pójsć źle?

— Musi pójsć dobrze, prawda, mister Webb?...

— *What? What?* — dopytywał Anglik, który z rosyjskiego znał tylko kilka słów. Ordon pospieszył więc z wyjaśnieniem, o czym rozmawiali z Tatianą.

— *Of course!* — kiwnął głową Anglik. — To oczywiste! Nic się nie zdarzy! Pani Morozowa dostawiła nas cało i zdrowo do Archangielska, my odpłacimy tym samym, chroniąc wasz statek do samego Murmańska. Za druźbu!...

Tym ostatnim słowom towarzyszyło oczywiście stuknięcie się kieliszkami. Ten Anglik ratuje honor swojej nacji, pijąc jak rodowity Szkot, pomyślał z humorem Ordon. Atmosfera była miła, serdeczna, bezpośrednia. Był zadowolony, że go tu zaproszono. Zapomniał nawet o bólu w nodze.

— Podobno zdemontowano tu dla pana jakiś „empirowiec” — zagadał znów Webb. — Wieziecie jego części do Murmańska?

— Tak. Niemcy trochę nas potarmosili, Byliśmy w tym konwoju, z którym przyszedł pan do Rosji. Polski statek „Kamerun”. Pamięta pan?

— Pamiętam... Byliście także w zespole tych jednostek, które wprowadziliśmy do fiordu, zanim jeszcze nadciągnęła reszta konwoju. Prowadził nas wtedy radziecki niszczyciel...

— Wtedy jeszcze uszkodzenia nie były poważne, ale Niemcy dostali nasz statek później, już przy nabrzeżu remontowym. No, a stocznie miejscowe nie dysponują składnicą części zamiennych, chyba tylko z wraków. Więc posłużyliśmy się wrakiem dla łatania naszych dziur.

— Widziałem holownik. Jest poważnie obciążony. Nie wyrobicie wiele węzłów. A przy dużej fali możecie mieć kłopoty. To stary grat...

— Nie będzie tak źle, sędzę. Najważniejsze to wejść w zasięg osłony baterii nadbrzeżnych na półwyspie Kola.

— Tak, wtedy już połowa szczęścia. Ale niech pan nie zapomina o niemieckich okrętach podwodnych. Jest ich tu obecnie coraz więcej.

— Tak dużo, że niektórzy dowódcy jednostek tropiących podwodniaków dostają na tym tle obsesji. Słyszał pan o zatopieniu polskiego okrętu podwodnego koło Norwegii?

— Tak, Zrobiły to „Seagull” i „St. Albansrr. Paskudna historia. A teraz znów ta straszna masakra konwoju PQ-17. Słyszał pan?

— Nie, nic nie słyszałem...

— Do Archangielska wchodzi właśnie pojedynczo i grupami resztki całej flotyli. Atak rozpoczął się na północ od Wyspy Niedźwiedziej. Na południe od Szpicbergenu rozwiązano konwój. Niemcy działali systemem „stada wilków”, z powietrza i spod wody. Atakowali bez przerwy. Zatonęło około dwudziestu jednostek. Te, które przetrwały, dobiły do brzegów No-

wej Ziemi. Napotkały nawet pola lodowe. Wyobraża pan sobie? O tej porze pola lodowe! Wyglądało na to, że dowódcy wpadli w panikę. Mogli spokojnie obejść wyspę Kołgujew od południa, tymczasem poszli wprost na półwysep Kola, na Jokangę. I tam ich powtórnie dopadli Niemcy. Niewiele jednostek dotarło do Archangielska. Jest nadzieją, że coś tam jeszcze dojdzie, ale nie będzie tego wiele... Czemu nie płyniecie do Kandałakszy?

— Podobno Niemcy nasilili bombardowanie linii kolejowej i drogi Kandałaksza— Murmańsk. Najpewniejsza wydaje się droga morska. Jeżeli nawet dostrzeże nas jakiś U-boot, wątpię, aby tracił torpedę na topienie bazowego holownika.

— Znam przypadki, kiedy Niemcy torpedowali łódzie rybackie... Ale kto wie, może jutro wyjdzie więcej statków z większą ochroną, a my jedynie dołączymy do całej karawany? Organizacja konwojów z Archangielska do Murmańska to także sprawa ściśle tajna.

Nie dano im jednak za długo rozmawiać o wojnie, bo nagle okazało się, że przedstawiciel miejscowej żeglugi zna również trochę angielski i pragnie wypróbować swoje umiejętności w rozmowie z Webbem, natomiast do Ordon przysiadł się Orłów — siwy, dostojny z patriarchalną brodą — podobno specjalista od spławu drewna. Zaczynał od flisowania na Północnej Dwinie, teraz pracował w kierownictwie spławu. Wszyscy więc zebrani tutaj związani byli z żeglugą, z żywiołem wodnym.

— Powiedziano mi, Piotrze Stanisławowiczu, że wy w tych stronach po raz pierwszy? — zapytywał, co świadczyło tylko, że o jego osobie Morozowa opowiadała wiele w domu, znał bowiem zarówno jego imię, jak i imię ojca.

— Pierwszy raz — przytaknął Ordon.

— A za Karskie Wrota chodziliście?

— Nie.

— A to żałujcie. Im dalej na północ i im dalej na wschód, kraj coraz to piękniejszy. Kiedy byłem młody, wędrowałem na Mieżę, na Peczorę, na Amdermę. Niebo tam niskie, polarne, a dokoła tajga. A dalej na północ początek tundry. Życie z przyrodą jak z bratem. Rozumie się mowę drzew, traw, ptaków... — przymknął oczy, jakby w myślach docierał właśnie na te leśne i bagniste bezdroża.

Potem wszyscy wyszli przed dom. Ze wzgórza roztaczał się piękny widok na rzekę i podmokłe grunty, porośnięte o tej porze bujną krzewiną i tatarakiem. Przy wysokim stanie wody bywało, że rzeka zalewała te połacie i wówczas okolica zamieniała się w wielkie jezioro. A kiedy wstawały mgły, jego krańce ginęły sprzed oczu

można było przypuszczać, że dom stoi nad bezkresnym, omotanym mlecznymi tumanami morzem. Jediną plagą były latem rojowiska komarów, ale palono wówczas w izbach wonne zioła, które dość szybko goniły precz skrzydlate brzęczydła. Tłumy ptaków błotnych wskazywały na to, że mają tu one także niezłe żerowisko. Miasto ciągnęło się ku zachodowi, a raczej ku północnemu zachodowi, gdzie właśnie świeciła popielata poświata polarnego słońca. Było cicho, dość ciepło, niemal bezwietrznie. Wydawało się, że nie ma już wojny, nie ma śmierci zaczajonej na murmańskich szlakach i serca matek nie biją z trwogi o losy swych najbliższych, czuwających w taką noc z palcami na spustach karabinów...

Część IV  
KRAINA RENIFERÓW

---



# 1.

---

Miał rację dowódca korwety „Seawolf”, kiedy przypuszczał, że „Gajdar” brytyjski okręt wojenny nie zostaną wyprawione w rejs same, ale w większym zespole jednostek. Konwój składał się istotnie z dwóch grup. Pierwszą tworzyły trzy frachtowce brytyjskie osłaniane przez niszczyciel, drugą — „Gajdar” i „Seawolf”. Obie grupy miały stałą łączność aldisem, istniał bowiem dalej zakaz używania radia, aby nie zdradzać swej obecności w eterze. Drogę wyznaczono następującą: od Archangielska do Przylądka Woronowa, potem należało przekroić akwen wodny w okolicy Cieśniny Białomorskiej aż po Przylądek Orłowski na półwyspie Kola i następnie iść już równolegle do Wybrzeża Murmańskiego, aż po samo wejście do fiordu Kola. W razie ataku z powietrza załogi mogły liczyć na odsiecz ze strony samolotów stacjonujących na lotniskach polowych. Samolotów tych było wówczas mało, nawet bardzo mało, ale ich obecność szachowała jednak Niemców, dla których ideałem byłoby atakowanie bezbronnego zespołu, jak na ćwiczeniach. Mówiono natomiast o dwóch grupach, a nie o jednym konwoju, ponieważ „Gajdar” nie podlegał brytyjskiemu komodorowi małej karawany, a obie jednostki wojenne również nie zostały skierowane w rejs według zależności dowodzenia. Po prostu zdecydowano roboczo połączyć obie grupy, co stwarzać miało większe bezpieczeństwo. Ani Morozowa, ani Ordon z takiej sytuacji nie byli jednak zadowoleni. Uważali mianowicie, że łatwiej przejść wszystkie trzy odcinki drogi małemu stateczkowi, jakim bez wątpienia był „Gajdar”, niż tak licznej karawanie. W dodatku w zespole frachtowców brytyjskich był jeden parowiec, który dymił jeszcze bardziej niż stare kotły radzieckiego holownika.

W czasie rejsu konwój jeszcze wyraźniej podzielił się na dwie grupy. W pierwszej, szykiem torowym płynęły dwa motorowce, a nieco z boku, z lewej burty swych kompanów — parowiec, jakby własną osmoloną pierśią osłonić chciał swych czystych eleganckich kolegów. Niszczyciel płynął z

początku na czele, potem przeszedł na lewą flankę zespołu. Drugą grupę otwierał „Seawolf”, a za nim, na końcu konwoju, włókł się holownik. Był bardzo obciążony, głęboko zanurzony i załoga mogła tylko dziękować Neptunowi — łącznie z bogiem północnych wiatrów Boreaszem, że jak dotąd morze było względnie spokojne. Znajdowali się jednak wciąż jeszcze na obszarze zamkniętego akwenu, nie znając sytuacji hydrometeorologicznej na Morzu Barentsa.

Prognozy nie były jednoznaczne. Liczono się z nadejściem ostrych szkwałów, a nawet opadów. Opady — zwłaszcza śniegu — nie przerażały. Ginęli wówczas sprzed oczu lotników. Ale huśtawki się bali, chociaż ograniczała ona także możliwości operacyjne okrętów podwodnych. Nie tylko ładownie, ale cały rufowy pokład stateczku zapełniały części zdemontowane z „Empire<sup>^</sup>”. Oczywiście logiczniej byłoby cały ten złom załadować na jeden z frachtowców brytyjskich, które szły głównie pod balastem, ale nie zawsze sprawy wspólnych inicjatyw były proste do przeprowadzenia. Transportowanie części wymiennych do stoczni murmańskiej mogli niektórzy spece od konwojów uważać za wewnętrzną sprawę stoczni radzieckich, a udowodnianie, że chodzi o remont alianckiego statku, zabrałoby zbyt wiele czasu. I tak zorganizowano tę dziwną karawanę, która po minięciu portu Bolszyje Kozły i wzięciu kursu na Nord, rozciągnęła się dość znacznie. „Seawolf” stał się w tej sytuacji łącznikiem między pierwszą grupą a samotnym holownikiem dodając ducha Morozowej błyskami swego aldisa, których znaczenie przekładać musiał Ordon na rosyjski. Webb był bowiem tak daleki od wzorca małomównego, flegmatycznego Anglika, że nawet w rozmowie migaczem okazywał się gadułą.

— Sympatyczny chłop z tego Webba... — stwierdziła nagle Tatiana. — Nie wszyscy Anglicy tacy. No, nie znaczy, że źli albo niesympatyczni, ale w zachowaniu jacyś inni. I patrzą tak na nas, jakby przyjechali do dzikusów. A tu tymczasem te dzikusy chronią ich kraj przed inwazją, biorąc całe uderzenie na siebie. Mam rację? No, nie mówię, że oni nam nie pomagają. I ogólnie rzecz biorąc to bardzo dzielni chłopcy. Dzielni i odważni.



Wspaniali z nich marynarze. Czemu się uśmiechacie, Piotrze Stanisławowiczu?

— Trudno się nie uśmiechać, słuchając tego waszego przemówienia. Komu to tłumaczycie? Kogo przekonujecie? Mnie?

— Może was... Wy także pochodzicie z ich świata.

— Świat jest jeden, a w dodatku maleńki.

— Może jeden, a może i nie jeden. Gdyby był jednakowy dla wszystkich, nie obawialibyśmy się dziś ani bomb, ani torped — odpowiedziała lekko nachmurzona. — Ach, kiedy to wreszcie nastąpi!...

— Co takiego?

— Co? Oczywiście koniec wojny! Wyobrażacie to sobie? Ulice oświetlone latarniami, noce bez syren, bez nalotów, bez huku artylerii przeciwlotniczej. Młodzi chłopcy mówiący o miłości, a nie o śmierci, gazety piszące o tym, że właśnie w Gruzji dojrzewają winogrona, a nie, że na przedpolach Gruzji stoi wróg. Tęsknię do pokoju.

— A ja nie wyobrażam sobie jeszcze pokoju. Gdy wrócę do domu, inne będą na pewno twarze moich bliskich, jeżeli je w ogóle zobaczę. Wolę sobie niczego nie wyobrażać. Przyjadę, zobaczę, przeżyję... Gdy myślę, zaczynam się bać.

— A może z was, tak po prostu powiem, tchórz? Nie obrażajcie się, Piotrze Stanisławowiczu, ale po tym, co mi mówicie, po tym, co mówiliście poprzednio, zaczynam to podejrzewać. A wiecie, czego wy się boicie? Boicie się własnego uczucia, bo może okazać się ślepe, boicie się szczęścia, bo może być nietrwałe, boicie się pokoju, bo może nie przynieść wam, tylko wam jednemu tego, czego się po nim spodziewacie...

— Istotnie, boję się, Tatiano Morozowa. Macie rację. Czy w związku z tym wiele w waszych oczach straciłem?

Teraz i ona uśmiechnęła się.

— Ech, Pietia, Pietia, dziwny z was człowiek! A odnośnie tego mojego przemówienia i przekonywania siebie, to oboje to czynimy. I to od momentu, gdy zjawiliście się na „Gajdarze”...

Stali na pomoście nawigacyjnymi, obserwując widniejącą daleko przed dziobem rufę brytyjskiej korwety. Dzień był jasny, ale bezsłoneczny. Fala rozkolebana, krótka, pryskająca spod dziobu fontannami srebrnych kropel...

Potem zjawił się na pomoście Biełokunow. Zameldował, że maszyna pracuje znakomicie, ale on boi się zwiększać dalej ciśnienie. Jak tamtym spieszno, niech sobie płyną. Oni dojdą wolniej, lecz pewniej. Morozowa zauważyła wówczas, że najgorzej w tej sytuacji czuje się „Seawolf”, który chciałby „być ze swoimi, a musi utrzymywać kontakt z „Gajdarem”. Biełokimow machnął ręką: jak chce być ze swoimi, niech płynie! Potem zakomunikował, że uzupełnienie załogi, jakie otrzymali w Archangielsku, zdaje egzamin na medal.

Przed wyjściem w morze zgłosiło się bowiem na pokład dwóch młodych marynarzy z flotyli żeglugowej na Północnej Dwinie, Michaił Walentynowicz Wołkow, o posturze mistrza wagi średniej i specjalności ster-sygnalisty, oraz Piotr Aleksiejewicz Sawielew, szczupły, ale krzepki chłopak o zawadiackim wyrazie twarzy, palacz. Informując o swoich umiejętnościach, zakończył prezentację gotowością zorganizowania kółka amatorskiego na pokładzie i wyrecytował jednym tchem fragment „Demona” Lermontowa. Wzbudziła ta prezentacja ogólną wesołość i chyba jeden Biełokunow nie był z niej najbardziej zadowolony. Kto to widział bowiem na holowniku zakładać kółko artystyczne! A w ogóle młodzi ludzie skłonności do poezji budzili w nim podejrzenie, że są to być może dekownicy obiboki. Skąd takie podejrzenia, trudno dociec, skoro już nawet poległy Wałucki dowiódł za życia, że można śpiewać romanse i równocześnie być dobrym marynarzem. Ale na uprzedzenia rady nie ma.

Teraz jednak ów poeta ładował podobno węgiel do kotła jak najlepszy palacz.

Bielokunow zajrzał potem jeszcze raz do maszyn, i poszedł spać, czekała go bowiem nocna wachta. Tymczasem na falach pojawiła się żółta piana, a raz czy dwa razy zadał ostry poryw szkwału.

Szczytowy okres białych nocy minął i obecnie można już było oczekiwać kilku godzin zmierzchu, może nawet mroku... Wieczorem Ordon zeszedł do kabiny, postanawiając jednak nie rozbierać się. Morozowa także utonęła w koi, podczas gdy na wachcie stanął z kolei Wołkow, który miał już nie tylko dyplom, ale praktykę sternika zarówno śródlądowego, jak i morskiego. Węgiel ładował Amdermanow. Bielokunow, który przespał się kilka godzin, teraz wychodził częściej z maszynowni na mostek. Z „Seawolfa” mrugano co jakiś czas aldisem umówiony sygnał. Dotąd wszystko było w porządku.

Za Przylądkiem Woronowa dostali raptownie potężne uderzenie wiatru i dużą falę. Tego nie przewidzieli ani oni, ani meteorologowie. Arktyka o tej porze lubi jednak okazywać kaprysy. Zostali raptownie zdryfowani w kierunku wyspy Morzowiec. Dryf był niebezpieczny, mogli bowiem utknąć na mieliźnie, co groziło zagładą stateczku. Latarnia na Morżowcu, koło osady Sewiernyj Gorodok, oczywiście nie paliła się. Wygaszono ją jeszcze na początku wojny.

Zanim zbudzono Morozową, sama odczuła zmianę pogody i zjawiała się natychmiast na mostku. Ordon doszedł do wniosku, że także powinien zejść do sterówki, chociaż ból nogi stawał się z każdym dniem bardziej dokuczliwy. Czy jednak ma prawo wtrącać się do kierowania statkiem, skoro już sama jego obecność tutaj mogła być niepożądana. Ostatecznie jednak wyszedł na pokład i o mało razem z przechyłem nie wyleciał za burtę. Siekł ostry, lodowaty deszcz, połączony ze śniegiem, holownik wdzierał się z trudem na góry wodne i spadał w dół z jękiem wiązań. Prawie cały pokład był co chwila pod wodą. Zamiast więc iść do sterówki, poszedł na rufę, czepiając się uchwytów, want masztu sygnalizacyjnego, relingu, kiedy góry wodne atakowały statek.

— A wy dokąd? — ryknął nagle jakiś głos nad uchem.

To Bielokunow. Wyjaśnił, starając się przekrzyczeć ryk wiatru i morza, że chciał sprawdzić, czy liny przytrzymujące zapasowe części dla „Kamerunu” są w porządku. Bielokunow odkrzyknął mu, że sam właśnie sprawdzał i schodzi teraz pod pokład. Mają trochę wody na dnie, włączył obie ponipy, ale Borodkin i Sawielew pompują także ręcznymi pompami. Jest źle — zakończył.

Ordon skierował się więc do sterówki i wpadł do środka razem z porywem wichury. W świetle przyciemnionych lamp oświetlających stół z mapą, instrumenty i busolę — zobaczył jej twarz. Kamienną, napiętą, czujną. Nigdy jeszcze nie widział u niej takiego wyrazu, takiego zacięcia warg, takiego spojrzenia. Zrozumiał wtedy, że słowa Bielokunowa nie były rzucone dla efektu. Było z całą pewnością źle.

— Piotrze Stanisławowiczu, dostaliśmy dużą falę i wiatr o uderzeniach sięgających górnych cyfr skali Beauforta. Widzialność zero. Deszcz i śnieg. Kiedy kierujemy dziób na północ, stoimy w miejscu, a nawet cofamy się. Jeżeli schodzimy na kurs północno-wschodni, dryfujemy. Nie mamy żadnego kontaktu z korwetą. Żadnego kontaktu z nikim. Mamy w zęzach więcej wody, niż bywa zwykle przy sztormowej pogodzie. Szans na ratunek z zewnątrz żadnych. Musimy liczyć na siebie. Jeżeli będziemy tonąć, połam naszą pozycję. Pas ratunkowy macie w swojej kabinie pod koją. Natychmiast załóżcie.

— Po co? Wiecie tak samo jak ja, że w tych warunkach nie ma to żadnego sensu.

— Załóżcie i nie mędrkujcie! To rozkaz!

— A wy?

— Ja tu dowodzę!

— Dobrze, zaraz założę... — Dojrzał wtedy, że stojący obok Morozowej olbrzym z uzupełnienia ma także na sobie żółty kapok. — Co zamierzacie? Chyba mam prawo zapytać o to dowódcę?

— Macie. Damy się zdryfować na wschód, na półwysep Kanin. To jędyna szansa. Półwysep osłoni nas od uderzenia fal i wiatru, a ta pogoda nie będzie trwać wiecznie.

— Czy damy radę, jeżeli...

— Do diabła, idźcie już po ten pas ratunkowy!

Wzruszył ramionami. Klótnia w tych warunkach i z tą kobietą nie miała sensu. Ordon wylazł ze sterówki i znów omal nie wypadł za burtę. Miał wrażenie, że holownik za chwilę stanie stępką do góry. Za gardło chwycił go strach. Gdyby pełnił tu jakąś funkcję, gdyby był za coś odpowiedzialny, nie czułby się tak głupio, jak teraz, będąc faktycznie piątym kołem u wozu w zespole ludzi walczących o życie statku. Pośliznął się i na chwilę zawisł na rękach.

Odczuł piekielny ból w nodze. A jeżeli to gangrena? przebiegło mu przez głowę. Jeżeli powinien leżeć w Murmańsku, a nie płynąć do Archangielska? I właśnie ta gwałtowna myśl o chorej nodze i nagły ból trochę stępiły jego strach.

Wreszcie dotarł do kabiny.

Znów targnął całym ciałem ból. Nie miał siły wdrapać się na koję, upadł przed nią i zwymiotował. W kabynie sztorm wydał mu się jeszcze groźniejszy, ale równocześnie naszła go jakaś słabość, przy której nie miał siły powstać z podłogi. Minęło może piętnaście minut, a może godzina, zanim wreszcie wczołgał się na koję. Miał rozpalone policzki i sucho w gardle. Cholera, na dobitkę choroba!... Nagle stwierdził, że holownik już tak nie kołysze jak poprzednio, a przez bulaj prześwieca popielata poświata. W tle wibracyjnego stukotu maszyn rozróżnił stękanie pomp.

Poczuł wstyd, że tak się rozmazał przed samym sobą. Porwał się z koi i odpowiadając na ból całym potokiem przekleństw, wylazł z kabiny i zeszedł pod pokład. Tam zluzował opadającego z sił Borodkina i praca przy ręcznej pompie nagle wlała mu w serce chęć życia i walki. Praktyczna

przydatność w zespole, oto czego mu było potrzeba! Nawet ból nie był już tak rwący. Pracował bez wytchnienia, raz tylko przyjmując z rąk kucharza kubek zimnej wody.

Było mu gorąco, ale to nie była gorączka. W ogóle o jakiej gorączce mogła być mowa? Zrzucił mundur i został w koszuli. Mokre spodnie schły na nim w oczach, parując obłokami pary. Gorąco było także od kotła. Poeta-palacz, solidnie przez kogoś obandażowany, także pracował przy pompie, mimo że co chwila cicho jęczał. Przy przechyłach rzuciło go na piec. Amdermanow był także lekko poparzony parą. Bielokunow kiwał głową i mówił: „To dziw nad dziwy, że nie zalało nam paleniska i nie wylecieliśmy w powietrze”.

Potem zjawiała się Morozowa, która omiotła wzrokiem pobojuwisko, a na widok spoconego Ordona wybuchnęła śmiechem.

— A rozkazu dowódcy nie wykonaliście! Ot, polski bohater!... — Potem nachyliła się do niego i powiedziała: — Wytrzyjcie się, ubierzcie i chodźcie na pokład. Łąd widać.

Szybko wytarł ciało szorstkim ręcznikiem, narzucił ubranie i wygramolił się z brzucha statku.

— To Wybrzeże Kanińskie — powiedziała Tatiana, wskazując ręką szary, niewysoki pas łądu na horyzoncie.

Chmury były nad nimi niskie i zwichrzone, ale morze dookoła najwyraźniej spokojniejsze. Fala mniejsza, połamana przez przybój. Wiatr tylko straszył jeszcze porywami.

— Ech, dziś to i mnie serce podeszło do gardła — powiedziała Morozowa. — Tej nocy śmierć otarła się o nas. Blisko, bliźutko. Taka bez orkiestry, bez mów uroczystych nad trumną, bez pożegnań. Zwykła śmierć. Bo chyba tak ona wygląda w rzeczywistości. Wszystko inne, te kwiaty i lamentsy, to dla tych, którzy zostają...

Uścisnął mocno jej dłoń i nic nie powiedział.

Potem razem obejrzeni jeszcze rufę holownika, gdzie w czasie sztormu Biełokunow dodatkowo umacniał części z „empirowca”. Wszystko było w porządku.

— Mówiłam już, że „Gajdar” to szczególny statek...

Przytaknął, ale zaraz skrzywił się z bólu.

— Co wam jest? Noga?

— Niedobrze z nią.

— A mówiliście, że was wykurowali w Murmańsku.

— Tak, ale kazali uważać, nogi nie męczyć. Boję się, że bandaże prześlą.

— Mamy na statku apteczkę. Chodźcie do mnie, to zmienię opatrunek. Potem wejdziemy do jakiejś zatoczki, a może nawet do portu i wszyscy solidnie odpoczniemy. Chce mi się tak spać, że aż oczy pieką.

Gdy w kabinie Morozowej zdjęli bandaże, uderzył ich w nozdrza odór ropy. Rosjanka pokręciła głową...

— Gdybym wiedziała, że tak ta wasza noga wygląda, nie brałabym was na statek, tylko odesłała do szpitala. No, ale Murmańsk blisko, tam się wami zaopiekują. A wiecie co, wyobrażam sobie, jak tam się o nas zamartwia dowódca „Seawolfa” — powiedziała nagle, chyba w tym celu, aby odwrócić uwagę Ordona od okropnej rany.

— Chyba cały konwój poszedł w rozsypkę — przytaknął. Odgadł jej grę, ale doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie rzeczywiście nie wracać do tematu nogi.

— Też tak myślę. Dmuchnęło wczoraj solidnie. To już pierwszy oddech arktycznej zimy. Żegnajcie, białe noce!

— Ładne mi białe noce. Dziś był prawdziwy mrok.

— O, to nie widzieliście jeszcze tutejszej zimy! Wtedy dopiero mogliście mówić o ciemnościach.

— Mam nadzieję, że będę wtedy w Anglii, a kto wie, może los skieruje mnie do Afryki. „Kamerun” to przecież afrykańska nazwa, chyba dla paradoksu trafił na Ocean Lodowaty...

W kwadrans później opuścił kabinę Morozowej i pokuśtykał do siebie. Spojrzał jeszcze raz przez bulaj w kierunku sianej linii lądu, rzucił się na koję i w chwilę później spał.

## 2.

---

Gdy załoga holownika „Gaj dar” kończyła zmagania ze sztormem, w głębi półwyspu Kanin, na pustynnej niemal równinie pokrytej tundrą, samotny nieniecki myśliwy— Chendir z rodu Chosedow — walczył z wichurą, łątając dach szałas. Tymczasem jeszcze losy załogi „Gajdara” i losy łowcy nie miały żadnego wzajemnego związku. Ba, ani tamci na morzu, ani ten tutaj nic o sobie nawzajem jeszcze nie wiedzieli. Miało to jednak nastąpić wkrótce, a w dodatku w tak dramatycznych okolicznościach, że najśmielszy bajarz koczowników Nieńców nigdy by czegoś podobnego nie wymyślił.

Tymczasem jednak Chendir z rodu Chosedow uszczelniał mchem szpary szałas. Był to właściwie nie szałas, lecz prawdziwy blokhauz, przed laty zbudowany z grubych bali przez handlarzy futer. Obecnie wykorzystywany był przez myśliwych z sowchozu „Czerwona Arktyka” jako podręczny magazyn futer. W czumie — typowym szałasie koczowników, o kształcie namiotu, nie było można trzymać skór, bowiem gdy wszyscy wychodzili na łów, do czumu łatwo mogły wtargnąć psy. Wielu etatowych myśliwych w ostatnim czasie jednak zniknęło z tundry. Swe umiejętności strzeleckie poszli wykorzystywać na murmańskim froncie. W całym sow-



chozie ostało się tylko dwóch: młodociany Chendir i starszek Munge. Sowchoz jednak i tak traktował zawsze polowanie jako uboczny produkt, główną uwagę skupiając na bogactwie morza i hodowli. Ale futra były oczekiwane dziś bardziej niż kiedykolwiek. Potrzebowała ich armia.

Wyruszając niedawno w tundrę Chendir umówił się, że kiedy spadnie śnieg dostatecznie głęboki, aby można było zaprzęgać psy, z sowchozu przyjadą tu po piętrzące się już pod dach blokhauzu futerka piżmaków, lisów i innych drobnych zwierząt. Zimą mogły się trafić niedźwiedzie, które wędrowały w te strony z wyspy Kołgujew, a może nawet z Wajgacza i Nowej Ziemi.

Chendir już od dziecka uczył się tropić zwierzynę, a na lekcjach w szkole uczono go nie tylko pisać i rachować, ale także zarzucać arkan, nazywany w tych stronach „maut” albo „czaut”, strzelać z łuku, rzucać oszczepem i zaprzęgać psy. Umiał także strzec stadia reniferów i jeździł wierzchem na renie jak na koniu. Ale dzieciństwo zostawił hen za sobą... Jego ojciec i trzech bracia byli dziś gdzieś na froncie. Dwie siostry zostały z matką daleko w tundrze. Wędrował stamtąd na zachód, gdy ojciec i bracia ruszyli na wojnę. Zatrzymano go, gdy szedł piechotą na front, licząc na to, że młody wiek nie będzie mu przeszkodą w realizacji marzeń, kiedy już dojdzie „na miejsce”. Ów wiek młodego myśliwego wzięli bowiem pod uwagę ludzie z komisji pobo-<sup>17</sup> rowej w Narjan-Mar. Zatrzymano go na Wybrzeżu Koniuszyńskim, gdy wędrował w kierunku Mieżenia nad Peczorą. Odbył dość dramatyczną rozmowę z miejscowym sekretarzem rejkomu i w końcu dał się przekonać, że dla wojny tyły są tak samo ważne jak front. Wtedy właśnie poszedł na etat myśliwego do sowchozu „Czerwona Arktyka'r na półwyspie Kanin, aby wkrótce zadziwić starych wyjadaczy swymi osiągnięciami.

Ubrany był w kostium, uszyty przez siostry jeszcze w rodzinnym czumie, głównie ze skóry psa, którą wytrawni myśliwi uważają za najlepszą na wędrowki po tundrze. Miał na głowie kaptur z piękną wyszywanką, wykonaną przez matkę, długą kurtę i miękkie obuwie sięgające do pachwin, ale

nieprzemakalne. Trafił do sowchozu akurat na coroczne święto — Dzień Renifera, lecz wojna niestety i temu świętu odebrała jego radość. Dobrze i to, że stworzyło ono okazję do zademonstrowania przez Chendira swych umiejętności strzeleckich i jeździeckich. W sowchozie byli Nieńcy, Komi\*<sup>2</sup>) i Rosjanie — już tylko młodzież, starcy i kobiety. Mężczyźni w sile wieku także i stąd poszli na front.

I tak oto zaczął polować na wyznaczonym odcinku tundry, nasłuchując niekiedy grzmotu dalekich dział lub bomb albo obserwując przelatujące samoloty z czerwonymi gwiazdami lub czarnymi krzyżami na skrzydłach. Uczono go, że w tej wojnie front przebiega wszędzie, tyle że inaczej wygląda. Kiedy więc w czasie uszczelniania blokhauzu usłyszał, razem z poświstem wiatru, odgłos przypominający daleką strzelaninę, nagle wróciły do świadomości wszystkie pouczenia sekretarza rejkomu i wszystkie nauki przewodniczącego, dotyczące czujności... Ostrzegano, że hitlerowcy mogą próbować desantów, aby okrążyć wojska broniące się w rejonie Murmańska i Archangielska.

Kto strzelał? Jak daleko strzelano? W której stronie?

Żeby odpowiedzieć kto, należało pójść i zobaczyć.

Jak daleko? Na to pytanie także niełatwo było odpowiedzieć wobec porywów wiatru. A skąd? Gdzieś od strony północnej. Mogło to być w stronie kotliny, gdzie stał czum starego Munge, ale równie dobrze na wybrzeżu, gdzie Chendir widział ostatnio siedziby rodu Chylczuju. A może echo strzałów nadleciało od gór Kanin-Kamień?

Wiatr nie był już tak silny i dokuczliwy jak w nocy, kiedy wyciągnął go nawet ze śpiwora i zmusił do reperacji dachu. Szły jednak wciąż jeszcze ostre szkwały i sypało wilgotnym śniegiem. Tundra pobieliała. Gdyby po-

---

<sup>2</sup>\*Nieńcy i Komi — narodowości zamieszkujące radziecką Arktykę, posiadające własne okręgi autonomiczne w RSFRR.

goda taka utrzymała się jeszcze kilka dni, mogliby już w sowchozie zaprzęgać sanki.

Chendir skończył pracę, ugotował sobie trochę herbaty, zjadł płat solonego, suszonego mięsa, wziął nóż myśliwski, ładunki, zawiesił na pas strzelbę i ruszył przez tundrę w kierunku czumu starego Munge. Szedł dość szybko, gnała go bowiem zarówno ciekawość, jak i pewien niepokój. Ucieszył się, gdy w godzinę później dojrzał dym z ogniska. Stary Munge piekł mięso na ruszcie, a obok czumu biegał kundel, poszczekując wesoło. Munge niewątpliwie wymiarkował ze sposobu szczekania psa, że zbliża się ktoś znajomy, bo wyszedł przed szałas i pomachał ręką w stronę dalekiej sylwetki myśliwego, czerniejącej na pobielonej tundrze. Tylko oni dwaj byli dziś eta-, towymi myśliwymi sowchozu. Młodzik, prawie jeszcze dzieciak, i starzec...

Gdy uściskali się i zasiedli wewnątrz czumu na posłaniu ze skór, Chendir niezwłocznie wyjaśnił, co go sprowadza, uważając, że wszystkie grzecznościowe formy i wszelkie ceremonialne przeciągania milczenia dziś nie miałyby sensu.

Munge skinał głową. On także słyszał jakieś odgłosy, jakby strzały. Jego zdaniem jednak dochodziły one na pewno od strony, gdzie widział czumy rodu Chylczuju. Młodzik pokłonił się wówczas staremu i poprosił, aby Munge nie miał mu tego za złe, ale on, Chendir, ruszy natychmiast w kierunku, skąd dobiegło echo strzałów. Stary myśliwy przyznał mu rację, radził jednak nie brać strzelby, ale łuk...

— Na Święcie Renifera widziałem, jak znakomicie strzelasz z łuku. Z dawnych lat mojego dzieciństwa zachowałem swój łuk i mam go tutaj. Niekiedy biorę go z sobą, gdy tropię jakieś małe zwierzę. To cicha śmierć. Nie czyni huk, nie zdradza myśliwego... A kto wie, co i kogo zastaniesz w obozie rodu Chylczuju..,

— Sądzę, że masz rację, Munge. Wezmę twój łuk, ale wezmę również strzelbę. Nie wiadomo, co bardziej się przyda, kogo spotkam. Jeżeli do-

szloby do walki, mam jeszcze nóż myśliwski, który wręczył mi ojciec, kiedy odchodził do wojska. Czy przypuszczasz, Munge, że na naszym brzegu mógł zjawić się nieprzyjaciel?

— Nic nie przypuszczam, Chendir, ale to, co obaj usłyszeliśmy, nie było odgłosami polowania. Bądź ostrożny i czujny. Nie pokazuj się na odkrytej przestrzeni. Podążaj parowami. Musisz zobaczyć wszystko, sam nie będąc widziany. Mam złe przeczucia.

Młodziak jeszcze raz pokłonił się staremu, wziął jego łuk i pięć strzał do sajdaka, poprawił strzelbę na pasie i przygarbiony lekko, jak myśliwy tropiący niedźwiedzia- samotnika, ruszył w tundrę... Znał tu każdy parów, każde wzniesienie. Starał się więc podążać taką drogą, aby ktoś ulokowany na jednym z dalekich, nadmorskich wzgórz, nie mógł go zauważyć. Cały kunszt tropiciela włożył w ostatni odcinek drogi, którego przebycie trwało przez to ogromnie długo, sądził jednak, że podczołgał się do obozowiska rodu Chylczuju od strony najbardziej uniemożliwiającej wykrycie jego podejścia. Jeżeli ktoś obserwował tundrę, to jedynie od strony dwóch najbliższych zatoczek. Tam mógł wylądować wróg. O wrogu tym słyszał wiele, ale nie mógł go sobie realnie wyobrazić, stąd wydawało mu się, że nie tylko strzelba i łuk, ale nawet nóż może odegrać tu decydującą rolę, jeżeli zostałby wykryty. A może jednak były to tylko ćwiczenia w tundrze? Wierzył jednak w przeczucie starego Munge. A Munge określił to wyraźnie: czuł śmierć. Obie zatoczki, do których się zbliżał, oddalone były od siebie zaledwie o kilka kilometrów, ale rozdzielał je skalisty jezor lądu. Tam stały czумы rodu Chylczuju.

Jeszcze tylko obszedł skaliste wzgórze, przebył jeden z licznych parów i oto przed nim ukazało się już obozowisko. Stały tam jednak nie trzy, lecz tylko dwa czумы. Trzeci uległ gwałtownej dewastacji, jakby został stratowany przez stado reniferów. Zanim jeszcze zbliżył się, wiedział już, co zobaczy, i nie omylił się. Powłoka pierwszego czumu naznaczona była licznymi dziurami od pocisków. Wewnątrz panował półmrok, ale można tam było rozróżnić ciała leżące na ziemi, które w pierwszej chwili wziął za

worki ze skórami. Naliczył dwie kobiety i pięcioro dzieci. W drugim czumie ten sam widok. Oba wnętrza zbryzgane były krwią, której mdły zapach zawisł nad rozrzuconymi śpiworami i naczyniami. Koło zagaszzonego ogniska leżało jeszcze kilka zastrzelonych psów. Dalej zobaczył rogi zabitego renifera, jakieś rozbite gliniane garnki, rozrzucone futra... Nie były to ślady walki. Po prostu jacyś ludzie przyszli do obozowiska i z premedytacją wymordowali wszystkie żyjące istoty, a następnie rozrzućili cały dobytek mieszkańców, jakby czegoś szukając. A może pragnęli sprawdzić, czy nikt nie ukrył się między futrami, aby go z kryjówki wyciągnąć i zabić? Ale dlaczego? Dla czystej radości z dokonanego zabójstwa? A może powód był inny? Może chodziło o usunięcie świadków tego, co tu się zdarzyło? A co mogło się zdarzyć?

Przykleknął za czumami i zaczął pilnie się rozglądać obserwując cały widnokrąg. Wzrok miał bystry. Typowe oczy myśliwego, nic się przed nimi nie mogło ukryć. Patrzył długo i uważnie. Jeżeli wymordowano mieszkańców obozowiska rodu Chylczuju, to może właśnie dlatego, że znalazło się ono za blisko miejsca desantu. Desantu? Gzy przypadkiem nie fantazjował? Nie. Mimo młodego wieku rozumował logicznie. Nie bał się. Znał już śmierć i budziła ona w nim dawniej strach, ale właśnie dziś lęk uleciał w dal, ku sinemu horyzontowi tundry. Jakby dopiero teraz, w obliczu tej zbrodni, gwałtownie wydorósł, stał się mężczyzną. Postanowił znaleźć, wytropić zabójców...

I oto nagle, na grzbiecie jednego z pagórków okalających wieńcem północną zatokę, daleko, bardzo daleko, zobaczył sylwetkę człowieka. Nieznajomy wyszedł na obły szczyt wzniesienia i rozejrzał się. Potem podniósł do oczu lornetkę i zaczął dokładniej penetrować teren. Chendir leżał nieruchomo, niemal rozplaszczony na ziemi. Obserwator badał szczegółowo widnokrąg dobre pięć minut, nic jednak nie odkrył. Potem zsunął się ze wzgórza i zniknął...

Wtedy Chendir postanowił rzecz ryzykowną... Dotrzeć do samej zatoczki i zobaczyć, co się dzieje za wieńcem pagórków! Aby to zadanie zre-

alizować, musiał bardzo ostrożnie wycofać się z terenu obozowiska, zejść z powrotem do parowu, którym tutaj przyszedł, a następnie podążyć aż do brzegu morza. Przypuszczał, że u wylotu północnej zatoki czuwać będzie jeszcze jeden posterunek, ale liczył na to, że niedźwiedzia-samotnika, a nawet lisa jest trudniej podejść niż tych, którzy tutaj przybyli. Na swoją korzyść miał także następujące dalej — choć już słabsze — szkwały, pędzące chmury mokrego śniegu... Cały widnokrąg tonął wówczas za białą draperią.

Parów zaprowadził go istotnie aż na brzeg, a tam zaczęła się długa i niebezpieczną droga ku cyplowi zatoki. Na cyplu nie było jednak żadnego posterunku. Zdziwiło go to, ale widocznie nieprzyjaciel czuł się dość pewnie, po wymordowaniu mieszkańców trzech czumów, wystarczał mu tamten jeden posterunek, badający widnokrąg w kierunku lądu. Nikt nie spodziewał się, że może nagle ktoś zjawić się od strony skalnego rumowiska, zwisającego nad plażą...

Z cypla miał Chendir wgląd w głąb zatoki, stanowiącej właściwie lejkowate ujście rzeki. Na wprowadzenie tutaj okrętu mógł się zdecydować bardzo wytrawny marynarz, posiadający znakomite mapy i locje, dysponujący niewielką jednostką i... nie mający innego wyboru. Tak też było w istocie.

Nie opodal brunatnego urwiska stało stalowe cygaro, niewielki okręt podwodny. Na pokładzie i na brzegu widać było kilku marynarzy.

Chendir miał doskonały wzrok i słuch.

To nie byli marynarze radzieccy...

Chwilę zastanawiał się co dalej czynić. Już pojął sytuację: niemiecki okręt był z pewnością uszkodzony i wszedł do zatoczki, aby przeprowadzić niezbędną naprawę. Niemcy rzeczywiście zorganizowali jeden punkt obserwacyjny na najwyższym punkcie wzgórz, licząc się z możliwością zaskoczenia jedynie od strony lądu.

Dość wysoki w tym miejscu brzeg zasłaniał całą plażę i przybrzeżne wody — myśliwy mógł więc bez okazywania większych ostrożności wrócić tam, skąd przybył. Wymordowanie biwakujących w obozowisku Nieńców miało widocznie na celu — tak jak przewidywał poprzednio — zlikwidowanie świadków. Faszyci albo orientowali się dobrze w rozlokowaniu radzieckich posterunków na Wybrzeżu Kanińskim, albo w czasie szalejącej zamieci nie zostali odkryci przez placówki. Weszli więc w gardziel zatoki nie zauważeni. Po dokonaniu naprawy przewidywali zapewne szybkie wyjście w morze. A więc należało niezwłocznie kogoś o tym zawiadomić. Ale kogo i w jaki sposób? Pamiętał, że nad inną zatoczką, położoną bardziej na południe, widział kiedyś stado renów, strzeżone chyba właśnie przez pasterzy z rodu Chylczuju. A gdyby dziś zwierzęta były tam jeszcze? Był przecież doskonałym jeźdźcem na renach! Do najbliższej staniczki wojskowej miał nie więcej jak dziesięć kilometrów. Mógł zdążyć, zanim hitlerowcy wyjdą w morze...

I właśnie wtedy zobaczył, że wzdłuż wybrzeży, w pobliżu wejścia do południowej zatoczki, płynie radziecki holownik...

### 3.

---

— Co jest, u licha — zaklął Wołkow. — Spójrzcie, towarzyszu dowódco, co tamten wyrabia?

Morozowa wzięła do rąk lornetkę i uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście... wygląda to na wojenny taniec łowców jeleni — powiedziała, bowiem reny nazywano na tych obszarach potocznie jeleniami. — Ubrany jest jak myśliwy, ale nie widzę powodu, dla którego miałby właśnie na tym brzegu uczyć się tak osobliwych podskoków, Chyba, że... Chyba, że daje nam w ten sposób jakieś znaki. Co to może być? Jak myślicie?

— Nie znam tych brzegów.

— Za dobrze nikt ich nie zna. Pełno tu mielizn, pełno skał. Ale zdaje się, że miejsce to rozpoznaję... Kiedyś już tędy szliśmy, ba, nawet zaglądałiśmy do tej zatoczki. Odsuńcie się od steru. Ja poprowadzę. Kawałek dalej, na północ, jest druga mała zatoczka, do której prowadzi wąski farwater między mieliznami. Nawet oznakowany. Tutaj dobić trudniej, ale kiedyś, razem z moim mężem Borysem, nam się to udało. Jeżeli wejdziemy za ten cypel, nie dostaniemy już ani uderzeń szkwału, ani fali przyboju.

Na mostku zjawił się Biełokunow. Był zdenerwowany.

— Chcecie ryzykować wejście „Gajdara” do zatoki? — zapytał.

— Cały nasz rejs do Murmańska to łańcuch ryzykownych przedsięwzięć. Jedno mniej, jedno więcej. A poza tym zdajcie się na mnie! Postawcie Sawielewa na dziobie, niech sonduje głębokość. A wy do maszyn!... Wchodzimy w kanał między łachami piachu. Mijamy ostatnią kipiel. Zaraz będzie spokojniej.

Rzuciła kilka poleceń do maszynowni, gdzie pracował w pocie czoła Amdermanow, a dokąd zbiegł teraz Biełokunow. „Gajdar” sunął powoli, fala omywała jego burty łagodnie, niemal przyjaźnie.

Znaleźli się na samym środku zatoczki, kiedy rzuciła do maszynowni komendę „stop”. Stanęli na kotwicy, żeby wiatr nie zdryfował ich na mieliznę i spuścili szalupę. Należało skontaktować się z myśliwym, który nadal dawał im rozpaczliwe sygnały z lądu. Z kabiny wyszedł Ordon, obudzony zamilknięciem maszyn. Był zaskoczony takim otoczeniem zatoki. Przy burcie tańczyła już szalupa z „Gajdara”. Siedział w niej Wołkow.

— Płynę na ląd, pójdziecie ze mną? — spytała Morozowa.

Zgodził się ochoczo, choć przy zejściu po trapie noga znowu dała o sobie znać. Morozowa poleciła Biełokunowowi opiekę nad statkiem i sprawdzenie ładunku na rufie. Przecież w tym celu głównie zawinęli do tej za-



toczki. Mieli przy tym naprawić pompy i wyrzucić wodę z zęz... Gdy schodziła po trapie do łodzi, Ordon dostrzegł, że do kieszeni wsunęła nagan.

Do lądu było niedaleko. W kilka minut później dziób szalupy zaszurał o piasek brunatnej plaży. Morozowa, która siedziała na dziobie, zgrabnie wyskoczyła, próbując zacumować szalupę przy plaży. Dopomógł jej w tym nieznany skośnooki mężczyzna w futrzanym stroju. Za Morozową na ląd wygramolił się Wołkow. Ordon dostrzegł, że marynarz kuleje bardziej niż on.

Nieznajomy mówił po rosyjsku z dość osobliwym akcentem i Ordon nie wszystko rozumiał. Ale najważniejsze pojął. Myśliwy odkrył obozowisko pasterzy, w którym wszyscy zostali wymordowani. W pobliskiej zatoczce natomiast natknął się na niemiecki okręt podwodny, prawdopodobnie uszkodzony.

Co w takiej sytuacji należało czynić? Morozowa spojrzała na Ordon. No, a co on by poradził?

— Musimy zobaczyć ten okręt. Może nie jest to jednostka niemiecka, lecz aliancka, a może nawet wcale nie jest to okręt podwodny — zawyrokował. — Uwierzę w to, co zobaczę...

— Możemy tam zaraz pójść! — oburzył się myśliwy, który w tonie wypowiedzi Ordon odczuł wątplenie w prawdziwość jego meldunku. — Ale czy wy, z tą nogą, dacie radę pójść tak daleko? — Potem zauważył orzełek na czapce Ordon i wrócił spojrzeniem na gwiazdy na czapkach Morozowej i Wołkowa.

Tatiana dostrzegła to i natychmiast uspokoiła myśliwego, tłumacząc, że ten oto oficer to wprawdzie cudzoziemiec, ale sojusznik. Myśliwy zaczął jednak od tego momentu spoglądać na Ordon nieufnie.

— Marynarz Wołkow zostanie przy szalupie, a ja i nasz gość pójdziemy razem z wami, zobaczyć okręt w zatoczce — powiedziała Morozowa.

— To nie jest spacer, towarzyszeko. Tam stoją uzbrojone posterunki. Jeżeli nas zobaczą, wszyscy zginiemy — odparł ponuro Chendir, któremu nie uśmiechała się perspektywa odbycia jeszcze raz tej samej drogi, w dodatku w towarzystwie kobiety i cudzoziemca.

— On ma rację... — mruknął nagle Ordon. — Nie możecie iść na zwiady, Morozowa. Jesteście dowódcą. Wasze miejsce na statku...

— A kto pójdzie? Wołkow przyszedł do nas jako inwalida, zwolniony ze służby czynnej we flocie. Chodzi wolniej niż wy. Wy także iść tam nie możecie...

— Iść trzeba — odpowiedział. — Nie można podejmować alarmu, jeżeli nie wiemy, co to za okręt. Tych ludzi w obozowisku mogli istotnie wymordować Niemcy, ale ten okręt może być aliancki. Może alianci ścigali Niemców, doznali uszkodzeń i zwinęli do zatoczki... Jest tyle omyłek odnoszących się do przynależności takich lub innych okrętów... Niedawno Anglicy i Norwegowie zatopili polski okręt podwodny.

— No dobrze, zostałam przekonana. Ale w takim razie kto pójdzie na zwiady? Myśliwy ma rację, możemy zostać odkryci. To ryzykowne.

— Wszystko jest ryzykowne. Słyszałem niedawno, jak sami to mówiliście, towarzyszu dowódcu... — wtrącił Wołkow.

— Racja — podchwycił Ordon. — Wszyscy ryzykujemy, ale wy, Tatiano, jesteście kapitanem statku. Wam nie wolno. Pójdę więc ja, razem z myśliwym.

.O nie! To jest zadanie bojowe, a tu jest front nasz, radziecki. Tymczasem wy jesteście cudzoziemcem. Właściwie gościem.

— Zapominacie, dowódcu, jak walczyliśmy wspólnie w czasie ataku niemieckiego samolotu koło Wysp Sołowieckich. Wtedy nie byłem gościem? Krótko mówiąc, jest to wojna tak samo wasza jak moja. I wróg jest jeden. Pozwólcie, że ja pójdę z tym myśliwym. Chodzi zresztą nie o walkę, ale o identyfikację okrętu...

— Dobrze, jeżeli jednak zostaniecie odkryci, ja włożę moim holownikiem w farwater przy wyjściu z tamtej zatoczki, w której stoi okręt podwodny. Fryców nie wypuszczę. Nikt się stamtąd nie wydostanie.

— Zatopią wówczas holownik...

— Trzeci raz mu się to zdarzy, ale frycom to nie pomoże, z zatoki i tak nie wyjdą. A zresztą wezwiemy zaraz przez radio pomoc. Niemiecki czy angielski okręt, niech o tym wiedzą...

— Wezwiecie otwartym tekstem?

— W takiej sytuacji nie będziemy mieli wyboru.

— Wtedy nadlecą także Niemcy.

— Macie lepszy pomysł? Jeśli nawet niemieccy lotnicy zatopią nasz holownik, to wówczas ci z zatoki i tak nie wyjdą na ocean. Tamtą zatokę także znam. Ma wąski farwater jak ta.

— Może będę miał lepszy pomysł, ale wpierw sprawdzę, co to za okręt.

— W takim razie idźcie już! Nie marudźcie! Ja wracam na holownik.

— Gotować się do bitwy? — zażartował.

— Może i do bitwy...

Młody myśliwy był najwyraźniej niezadowolony, że musi wracać na cypel koło zatoki, w dodatku razem z kulejącym oficerem-cudzoziemcem. W oczach stały mu wciąż zdewastowane, postrzelane czumy rodu Chylczuju i zimne, okrwawione zwłoki.

— No to idziemy! — rzucił z rezygnacją w głosie i ruszył przodem.

W czasie drogi Ordon zauważył w wyposażeniu myśliwego — obok strzelby — także łuk i strzały. Powiało romantyzmem ksiązek indiańskich. Skąd mógł wiedzieć, że jest to właściwie obecnie już rodzaj broni sporto-

wej, a tylko okoliczności nadały jej inny charakter? Potem jeszcze raz doszedł do wniosku, że przeliczył się ze swoimi siłami, zwłaszcza wobec tempa marszu, które narzucił myśliwy. Po półgodzinie drogi odczuł piekielny ból w nodze, ale zaciął zęby i postanowił iść dalej. Całe szczęście, że nie rozstawał się już teraz nigdy z laską. Podpierał się więc całym ciężarem, aby sprawić ulgę nodze. Powodowało to jednak nierzadko dodatkowe stuki i szmery... Na szczęście poświst wiatru uniemożliwiał usłyszenie tych hałasów przez Niemców, jeżeli to byli istotnie Niemcy. W dodatku wiatr wiał właśnie od północnej zatoki...

Nagle Chendir przykucnął i dał mu ręką znak, aby uczynił to samo. Przywarł więc do jakiegoś skalnego urwiska i spojrzął w stronę, w którą patrzył myśliwy. Ze skalistego nawisu schodził w dół, skacząc z kamienia na kamień, wysoki mężczyzna. Nie trzeba było nawet specjalnie mu się przyglądać, aby rozpoznać mundur Kriegsmarine. W dłoni trzymał pistolet maszynowy... Ordon uświadomił sobie wtedy, że nie jest uzbrojony, natomiast jego towarzysz ma wprawdzie strzelbę, ale w dłoniach trzyma łuk... Z łukiem na pistolet maszynowy?

Marynarz niemiecki zeszedł tymczasem na sam brzeg, położył pistolet na jakimś kamieniu, przykucnął i najspokojniej zaczął załatwiać fizjologiczną potrzebę. Wzrok jego błądził po skałach, po plaży i nagle niemiecki matros zauważył na mokrym śniegu ślady stóp. Posunął spojrzenie w kierunku, dokąd prowadziły te ślady, i zbaraniał. Naprzeciwko siebie zobaczył postać w futrzanym stroju, uzbrojoną w łuk.

Chendir nie miał zamiaru zabijać. Sądził zresztą, że dostarczenie na holownik żywego wroga ocenione zostanie wyżej niż pozostawienie za sobą trupa. Ale marynarz Kriegsmarine był na tyle głupi, że zlekceważył broń trzymaną przez myśliwego i sięgnął po pistolet. Wtedy cięciwa łuku jęknęła, a strzała wypuszczona pewną ręką przewierciła Niemcowi gardło. Zwalił się twarzą między kamienie.

Wówczas wstali, wyszli z ukrycia i podeszli ostrożnie do leżącego, a Chendir obejrzał pistolet maszynowy i zawiesił go na pasku przez ramię.

Marynarz nie żył. Ordon spenetrował jego kieszenie, ale nie znalazł nic. Tym, którzy schodzili na ląd, kazano zapewne opróżnić je ze wszystkich drobiazgów.

Chendir skinął na Ordon, aby szedł za nim dalej. Do cypla było już niedaleko. Zaledwie kilka kroków. Ból w nodze stał się nagle tak dotkliwy, że Ordon chciał niemal płakać. Nogi już nie stawał, ale ciągnął za sobą... Jeszcze dwa kroki... Już...

Zatoczka wyglądała podobnie, jak ta, w której zakotwiczył holownik. Myśliwy nie kłamał ani nie fantazjował. Niedaleko brzegu, na głębiny rozmytej przez prąd, stał mały okręt podwodny. Był to ulepszony nieco typ dwustupięćdziesięcotonowych jednostek, które Niemcy zaczęli budować wkrótce po złamaniu ustaleń Traktatu Wersalskiego, zakazujących im posiadania floty podwodnej. Jednostki te nie miały dział na pokładzie, jak okręty dalekiego zasięgu, ale tylko jeden sprzężony karabin maszynowy. Zamiast pięciu wyrzutni torped, w co uzbrojono jednostki atlantyckiej serii U-bootów, miały ich tylko trzy. Zresztą gdyby to był okręt podwodny dalekiego zasięgu, nigdy nie można by jej wprowadzić do tej zatoczki, rozumował Ordon. Tamte miały znacznie większe zanurzenie i były dwa razy dłuższe. Ale też małej jednostce łatwiej będzie opuścić zatokę.

Załoga podwodnego pirata nie była liczna i wydawało się, że cała zajęta jest obecnie przy naprawie. Czy uszkodzenia były dziełem sztormu czy też bomb hydrostatycznych? Należało się liczyć, że Niemcy zauważą brak jednego z załogi. A jeżeli odnajdą trupa marynarza? Wtedy zarządzą niewątpliwie alarm. Mogą nawet przeszukać okolicę. Ale wówczas i tak nie odpłyną prędzej, aż zakończą remont. Wydaje się, że mają jakieś kłopoty ze zbiornikami balastowymi, medytował Ordon, a boją się iść na powierzchnię...

Gdyby „Gajdar” znalazł się w cieśninie u wejścia do zatoki, okręt podwodny nie mógłby odpalić torped, bo po zatopieniu radzieckiej jednostki zostałby zablokowany. Poza tym eksplozja na tak małym akwenu mogła dodatkowo uszkodzić hitlerowską jednostkę. A więc zjawienie się holow-

nika u wejścia do zatoki unieruchomiło hitlerowskiego pirata bez walki, a w razie podjęcia walki stwarzało i tak nikłe albo żadne szanse na zwycięstwo Niemców. Okręt podwodny miał taką samą broń jak holownik, dwa sprzężone kaemy. Próba abordażu uzbrojonych niemieckich marynarzy chyba nie wchodziła w rachubę. Do tego czasu mogły przecież nadejść okręty radzieckie lub nadlecieć samoloty z radzieckich lotnisk polowych.

Nerwowym ruchem Ordon wydobyl portfel i znalazł jakąś karteczkę. Na odwrocie napisał ołówkiem po rosyjsku kilka zdań: „Myśliwy miał rację — jest to mały hitlerowski okręt podwodny. Nie posiada działka na pokładzie, ma natomiast trzy wyrzutnie torped, których przeciwko wam na pewno nie użyje, jeżeli zablokujecie wyjście z zatoki. Płynicie, ile sił w maszynach, i blokujcie wejście! Ja tu zostaję, noga odmówiła mi posłuszeństwa! Jeżeli coś się stanie, moje dokumenty przekazcie kapitanowi mojego statku. Statek nazywa się »Kamerun«. Wszystkiego najlepszego. Piotr.”

Skinął na myśliwego i podał mu kartkę.

— Oddajcie to dowódcy holownika „Gajdar”, Tatianie Morozowej. To ważne. I weźcie także dla niej to — wcisnął mu w rękę portfel. — Ja tu muszę zostać. Noga... rozumiecie? Za długo trwałby nasz powrót, a holownik musi przybyć szybko.

— Jak to, chcecie tu zostać? Sami? Przecież będą szukać tego zabitego marynarza. — Chendir wskazał ręką w stronę, gdzie leżał trup.

— Nie ma rady, kochany! Patrz... — podciągnął nogawkę od spodni i wówczas ukazały się bandaże. Były brunatne od krwi.

— Wy jesteście ranni — bąknął zdumiony młody myśliwy. — To dlatego kulejecie.

— To stara rana, trochę tylko krwawi... No, nie zadawajcie niepotrzebnych pytań i wracajcie na holownik! Zostawcie mi tylko to. — Sięgnął po niemiecki pistolet maszynowy i ściągnął myśliwemu z ramienia. — Nie dam się im przecież zarżnąć, jeżeli tu przyjdą...

Chendir skinął głową. Był myśliwym i podobne sytuacje rozumiał. Zadał tylko jeszcze jedno pytanie...

— Miałem rację mówiąc o faszystowskim okręcie?

— Tak. Mielście zupełną rację. A teraz już idźcie.

Chendir odszedł i po kilku krokach zniknął między głazami. Ordon został sam. Obejrzał pistolet maszynowy, aby poznać jego konstrukcję i zasady działania. Zapasowych magazynków nie miał, musiał mu wystarczyć tylko ten jeden. Potem jeszcze raz podciągnął nogawkę. Poczłł mdłości.

Przypomniał sobie, co mówił mu lekarz o obowiązku leżenia i niemeżenia nogi.

Nie patrzył na zegarek, aby się nie denerwować. Próbował zmienić pozycję, ale targnął nim wówczas taki ból, że zrezygnował.

Ze swojego miejsca nie widział zabitego, ale za to miał otwarte pole obserwacji na zatokę. Kiedy wreszcie zaczną szukać tego marynarza? O, zdaje się, że już! Widział na brzegu dwóch uzbrojonych Niemców, przekazujących jakąś informację oficerowi lub podoficerowi, stojącemu w kiosku dowodzenia. Potem pobiegli po skarpie nad wodą i zniknęli mu z oczu. Grupa prowadząca pracę na pokładzie zniknęła również. Teraz był tam tylko jeden marynarz na rufie, chyba wachtowy i dwóch czy trzech ludzi w kiosku. Kto wie, może już skończyli prace zabezpieczające i zamierzali wyjść w morze?

— *Ha-a-ans! Wo bist du? Ha-a-ans!* — usłyszał całkiem blisko tych, którzy prawdopodobnie szukali zaginionego.

Okrzyki powtórzyły się kilkakrotnie, potem nagle drugi głos powiedział głośno:

— *Du, da liegt jemand!...* Tu ktoś leży!...

Teraz zobaczył obu marynarzy zupełnie blisko. Schodzili z urwiska. Słyszał ich głosy, pełne zdziwienia, gdy odkryli, że ich kolega zabity został

strzałą z łuku. Potem mówili coś o śladach na plaży. Ten pierwszy zarządził, aby rozeszli się i jeden spenetrował odcinek południowy, a drugi północny, ale ten drugi (może byli równi stopniem?) sprzeciwił się, mówiąc, że to niebezpieczne, ponieważ „bandytów było kilku”.

Wreszcie obaj Niemcy uzgodnili, że pójdą razem wzdłuż plaży na południe. Minęło sporo czasu, zanim znów usłyszał ich głosy. Wracali. Szli prawdopodobnie w stronę cypla. A na cyplu był on... Ujął pistolet maszynowy najwygodniej, jak tylko mógł. Czekał.

Potem obserwował, jak wyrosły przed nim dwie wielkie sylwetki w granatowych mundurach z okrągłymi czapkami, opatrzonymi napisem „Kriegsmarine”.

Nacisnął spust...

Huk nie był wielki, a dwie serie zabrzmiały jak odgłos dartej płótna. Pierwszy z idących złapał się za pierś i runął na wznak. Drugi przyklęknął i trzymając się oburącz za głowę upadł twarzą na kamienie.

Ordon spojrzał ku okrętowi podwodnemu. Zobaczył, że po przerzuconym trapie biegnie obecnie na wybrzeże pięciu uzbrojonych marynarzy. Jednocześnie obsługa przy kaemach zajmowała stanowiska bojowe. Usłyszał basowe szczeknięcie i stuk rykoszetów po głazach.

Teraz mnie wykończą! - zakonkludował.

Ale zapomniał, że mimo wszystko nie był sam. Bo właśnie w tej samej chwili podobnym basem zagadało coś za jego plecami, a w odpowiedzi usłyszał okrzyki na skarpie. Odwrócił się. To „Gajdar” płynął całą siłą swych maszyn, a przy kaemie stali Biełokunow i Borodkin. Strzelali krótkimi seriami gdzieś ponad nim, prawdopodobnie w stronę patrolu, który miał opanować cypel u wejścia do zatoki i zabić właśnie jego...

Teraz już Niemców nie wypuszczą! przebiegło mu przez myśl i nagle uczył, że oblewa go fala ciepła. Skały, zatoka, okręt holownik — wszystko to uległo rozbiciu na dziesiątki małych kawałków. Wydawało mu się, że



słyszony terkot telegrafu maszynowego i własny głos. Nad jego głową krzyżowały się smugi pocisków, wystrzeliwanych z przeciwnych kierunków. To była bitwa, o której mówiła Morozowa. Potem usłyszał ryk silników samolotów od strony wybrzeża. Dostrzegł jeszcze czerwone gwiazdy na skrzydłach...

## 4.

---

Oprzytomniał, czując jednocześnie smak alkoholu w ustach. Otworzył oczy i napotkał na wprost siebie zatroskane oblicze Borodkina.

— No, wiedziałem, że wrócić do przytomności! — powiedział. — Tatiana wprawdzie nie pozwoliła, ale co innego miałem wam dać zamiast lekarstwa? W apteczce pokładowej pustki. Pomyślałem sobie, że alkohol przynajmniej was rozgrzeje. Jak się czujecie?

— Już dobrze... — powiedział, ale wydało mu się, że słyszy swój głos jakby z oddali. — Długo byłem nieprzytomny?

— Wiele godzin. No i niezupełnie było to omdlenie. Gadaliście coś nawet, ale nikt nie mógł zrozumieć, bo chyba po polsku.

Spróbował usiąść. Borodkin podparł mu plecy.

— Gdzie jestem?

— Jak to gdzie? Na „Gajdarze”.

Wysłuchał się w rytm maszyn. Odczuł wibracje silników i przechyły statku na dużej fali.

— Płyniemy?

— Ma się rozumieć, że płyniemy. Osłania nas niszczyciel z czerwonej floty. Dołączymy zaraz do konwoju idącego do Murmańska. Za dwie godziny zobaczymy przylądek Światoj Nos.

— To już półwysep Kola?

— Tak. To już Wybrzeże Murmańskie.

— A tam, w zatoce?

— Nie widzieliście?

— Widziałem, jak „Gajdar” wdał się w walkę z Niemcami...

— A ścigacze widzieliście?

— Nie.

— Równocześnie z nami przyszyły dwa ścigacze. My z południa, one z północy. klucz samolotów z polowego lotniska. Niemcy nie mogli wyjść, a gdyby nawet wyszli, nie mogli się zanurzyć. Mieli pompy balastowe uszkodzone. Może w czasie sztormu.

— Nic nie pamiętam. Ta bitwa...

— E, bitwy to tak naprawdę nie było. Niemcy pomachali białą szmatą i koniec. Zeszli na ląd i ustawili się w rzędzie. Zabitych mieli pięciu. Jednego rąbnął ten myśliwy, który nas zaalarmował, dwóch wy, a dwóch Biełokunow, kiedy otworzył ogień...

— A co na „Gajdarze”?

— Biełokunow leży teraz w kabinie Morozowej, ale chyba z nim lepiej niż z wami. Znaleźliśmy was w kałuży krwi. Osłabliście. Pomagałem bandażować, źle to wygląda. Noga spuchła i szzerwieniała. Żeby tylko nie gangrena...

— A ten niszczyciel?

— Wyszedł nam naprzeciw. Płynął w ochronie konwoju idącego z Archangielska do Murmańska i teraz pomoże nam do tego konwoju dołączyć. Wiatr zmienił kierunek, wieje ze wschodu. Przejdziemy...

— A części dla „Kamerunu”?

— Wszystkie w porządku. Dowieziemy. Gorzej tylko z wami. Zaraz powiem Tatianie, że wróciliście do przytomności.

— Morozowa na mostku?

— Pewnie! Diabeł, nie kobieta... Boję się tylko, że „Gajdar” pójdzie teraz na stocznię i mogą go nie wypuścić więcej w podobny rejs. Ale pompy już pracują.

— Bierzecie wodę?

— Niedużo, ale bierzemy. No, pójdę na mostek. Może Wołkow zastąpi Tatianę przy sterze, to będzie mogła was odwiedzić. To świetny marynarz, może nawet zastąpić w sterówce Bielokunowa.

— Ciągłe tu ktoś kogoś zastępuje.

— Wołkow to inwalida zwolniony ze szpitala. Widzieliście chyba jak kuleje. Był na froncie. Dobry chłopak. No, ale teraz spróbujcie trochę pośpać... Dość rozmów. Ja już idę.

Kiedy odszedł, Ordon odsunął koc. Całą nogę miał świeżo obandażowaną. Chyba poszły na to dwa prześcieradła. Kiedy był nieprzytomny, ściągnęli mu spodnie. Zobaczył je na haku — zaplamione krwią, z rozciętą nogawką... Zostawili go w samym swetrze... W kabinie nie było jednak tak gorąco jak wówczas, kiedy szli z Kandałakszy do Archangielska. Teraz wydało mu się to historią bardzo odległą. Przymknął oczy.

Co czekało go w Murmańsku?

Chyba jednak szpital...

— No i co, bohaterze?

To była Morozowa. Stała nad nim, ubrana w kozuch i uszatkę. Uśmiechała się.

— Gdybym wiedziała, jak jest naprawdę z waszą nogą...

— Dajcie spokój, Tatiano. O tym już mówiliście.

— Zwracam wam portfel z dokumentami.

— Włóżcie go pod poduszkę. Dobrze, że to wszystko skończyło się pomyślnie.

— Nie dla faszystów... Zresztą nie mieli szans. Myślę, że odpowiedzą za wymordowanie mieszkańców trzech czumów nienieckich. Wy też się popisaliście. Znaleźliśmy dwóch zabitych. No, a trzeciego załatwił ten myśliwy.

Poprosił, aby wyciągnęła jego neseser. Kazał jej otworzyć...

— Co to takiego? Lalka? — uśmiechnęła się.

— Miś — wyjaśnił — po waszem chyba miszka. Taka pamiątka. Weźcie. To ode mnie... Kiedy popatrzyacie na ten śmieszny pyszczek, zrobi wam się weselej.

— No a wy? Nie będzie wam go brak?

— Może i będzie, ale bardzo chcę, żeby został u was...

— Dlaczego?

— Długo trzeba by o tym mówić. W czasie tej podróży na „Gajdarze” wiele zrozumiałem. Przyjrzałem się życiu. Od chmur aż do samego dna, gdzie panują wieczne mroki.

— Naszemu życiu?

— Nie. Swojemu. Nie wiem, czy to zrozumiecie, mniejsza zresztą z tym.

— Rozumiem — odpowiedziała krótko.

— Tym lepiej.

— Powinniście byli leżeć w szpitalu albo na pokładzie tego waszego „Kamerunu” — burknęła, jakby chciała uniknąć sentymentalnego nastroju.  
— Zachciało wam się podróżować...

— Nie żałuję tego. Naprawdę nie żałuję. No i „Kamerun” wypłynię dzięki temu w powrotny rejs. To także ważne. Daleko jesteśmy od lądu?

— Dość daleko i widoczność nieszczególna, ale już dołączyliśmy do konwoju, idącego z Archangielska do Murmańska. „Gajdar” stał się sławny dzięki tej przygodzie z okrętem podwodnym. Boję się tylko, że to mu na dobre nie wyjdzie. Jest już nie tylko weteranem, ale i inwalidą. Drugi raz w podobny rejs go nie puszczą. Zostanie mu żywot holownika bazowego. Wyłącznie... Ale po wojnie będzie co wspominać.

To ostatnie zdanie zabrzmiało naiwnie. Naiwnie, ale prosto i tak jakoś pogodnie. Ordon wyciągnął rękę i ścisnął dłoń Morozowej.

— Ech wy, Piotrze Stanisławowiczu...

Wzięła pluszowego misia i wsadziła za pazuchę, westchnęła, obróciła się na pięcie wyszła z kabiny.

W porze nocnej „Gajdar” wyłowił rozbitków. Było ich trzech. Znajdowali się dość długo na tratwie, zmoczeni i zmarznięci. Mimo że wiano im do gardła trochę wódki, a potem nakarmiono gorącą grochówką, nie potrafili długo odpowiedzieć na żadne pytania. Wołkow znał trochę angielski. Pytanie, które im wielokrotnie powtarzał, było wciąż takie samo: „What ship?”. W końcu jeden z rozbitków, gdy minął już szok, wykrztusił z wysiłkiem całą historię ich dramatu, zawartą w dwóch krótkich zdaniach..

— HMS\*<sup>3</sup>) „Seawolf”... Zostaliśmy storpedowani...

---

<sup>3</sup>HMS — His Majesty Ship — Okręt Jego Królewskiej Mości.

Gdy powtórzono to Morozowej, zbiegła natychmiast do kabiny załogi, w której umieszczono rozbitków. Miała także jedno pytanie, które powtórzył Anglikom osiłek Wołkow.

— Co z dowódcą?

— Nie chciał zejść z pomostu. Pozostał... — brzmiała równie lakoniczna odpowiedź. — Pozostał — powtórzył jeszcze raz marynarz i przymknął oczy,

Tak więc kolejno zapadali w otchłań wojenną ludzkie, z. którymi spotykali się w kręgu załogi „Gajdara” na co dzień, którzy byli mili, weseli, chcieli żyć i nie mieli do nikogo uprzedzeń ani nie żywili nienawiści.

Potem marynarze brytyjscy podali więcej szczegółów. Opowiadali, jak to w okolicach przylądka Światoj Nos i portu Gremicha, już na Wybrzeżu Murmańskim, konwój natknął się na nieprzyjacielskie okręty podwodne. Morze było białe od wybuchów bomb hydrostatycznych, ale mimo wszystko nie udało się całkowicie przepłoszyć nieprzyjaciela. Konwój poszedł dalej, „Seawolf” został, tropiąc na podsłuchu Niemców. No i stało się. Kiedy już zrezygnował z pościgu, dostał torpedę, a potem jeszcze dwie. Chyba o dwie za dużo, bo pierwsza dokonała dostatecznego zniszczenia. Webb był ranny, może nawet ciężko. Zachował się jak admirał Nelson... Nie wiadomo, czy marynarze, którzy to opowiadali, znali szczegóły śmierci Nelsona, ale widocznie tak to sobie wyobrazili. Albo w ich pojęciu znaczyło to: umierał z godnością, na pokładzie swego okrętu. Został z nim razem sygnalista, który także odmówił zejścia do szalupy. Chciał być do końca ze swym dowódcą, być może zamknął oczy umierającemu. Ale zanim Webb skonał, wrak korwety zniknął w morzu.

Konwój, w którym znalazł się „Gajdarr”, wszedł do fiordu Koła w godzinach rannych następnego dnia. „Gajdar” otrzymał polecenie podejścia do nabrzeża portu wojennego Polarny, aby tam przekazać rannych sprzymierzeńców. Bielokunow miał iść do szpitala w Murmańsku. Gdy brytyjscy sanitariusze zabierali Ordonę, obecna była cała załoga holownika. Bo-

rodkin wsunął mu jeszcze pod koc jabłko... Skąd wytrzasnął jabłko o tej porze, na holowniku? Trudno zgadnąć. Morozowa uścisnęła dłoń rannego i powiedziała: „No, do zobaczenia, Piotrze Stanisławowiczu! Zapraszam po wojnie do Archangielska!” Uśmiechnął się do niej i odpowiedział uściskiem dłoni.

Chciał teraz gwałtownie opowiedzieć jej wiele rzeczy, uzupełnić wszystkie niedomówienia, zaprosić razem z jej Borysem do Gdyni — choć było to tak jeszcze nierealne, mgliste, dalekie — ale nie stało na to zupełnie czasu. Sanitariusze mocowali nosze do windy, którą wciągano go na pokład jakiegoś stalowego kolosa. Morozowa usłyszała urywane słowa — „A jeżeli... po wojnie... czas... wierność...” Potem klekot windy i pojęk szkwału zdusiły jego głos.

Pomachała mu ręką.

Wkrótce już windowano innego rannego, członka załogi korwety „Seawolf”.

Umieszczono ich w szpitalu na wyremontowanym krążowniku „Halifax”, gdzie urządzono coś w rodzaju ogromnego lazaretu. Dowiedział się, że krążownik odejść ma w najbliższych dniach razem z rannymi do Szkocji. Próbował skontaktować się z Saniewiczem, ale starania były zbędne, kapitan i tak dotarł do niego, pokonując wszystkie możliwe przeszkody.

Uściskali się serdecznie. Kapitan natychmiast, niemal w pierwszych słowach zawiadomił Ordoną, że cały ładunek dotarł szczęśliwie. Dzięki temu odejście „Kamerunu” było już realne, choć jeszcze nie w składzie najbliższego konwoju QP.

— A właściwie nie wiem dotąd, gdzie pan został ranny, że wpakowano pana na „Halifax”. Atakowały was samoloty?

— Samoloty też nas atakowały — przytaknął Ordon. — Zresztą byłoby dziwne, gdyby nas nie atakowały. Ale moja rana jeszcze z „Kamerunu”...

— Co pan powie? Dotąd pana nie wyleczyli?

— Nie chodzi o leczenie, panie kapitanie. Zwolnili mnie, kiedy już rana wyglądała lepiej, ale zwolnili warunkowo. Miałem leżeć.

— No to czemu pan nie leżał?

— Zapomina pan, że to właśnie z pańskiego polecenia popłynąłem do Archangielska...

Saniewicz zmieszał się.

— Czy to znaczy, że...

— To nic nie znaczy, kapitanie. Gdyby nawet pan mnie specjalnie nie namawiał, pewnie i tak bym popłynął. Ostatecznie jest wojna. Każdy z nas ma jakieś obowiązki.

— Chyba ma pan rację, Ordon. Nie myślałem jednak wtedy, że z tą nogą jest tak poważnie.

— Ja też nie myślałem.

— A cóż za wspaniała kobieta ta Morozowa! — zaczął nagle Saniewicz, jakby zmienić chciał gwałtownie temat. — Zaraz po wejściu do portu odszukała „Kamerun”, stanęła z tym swoim holownikiem przy nabrzeżu wyposażeniowym obok nas i rozpoczęła wyładunek. Diabeł, nie baba! — powtórzył bezwiednie określenie, które już przedtem użył Borodkin. — Potem opowiedziała mi o jakimś spotkaniu z niemieckim okrętem i złożyła u mnie oświadczenie pisemne na temat pańskiego zachowania się w czasie akcji. Twierdziła, że należy się panu odznaczenie... Nie wiedziałem, że z pana taki bohater!...

— Przez tę moją nogę mieli na holowniku dodatkowe kłopoty — rzekł wymijająco. Nie chciało mu się relacjonować przebiegu wydarzeń u brzegów półwyspu Kanin.

— No, ale już po kłopotcie. Odpłynie pan do Szkocji przed nami.

— Nie wiem tylko, czy odpłynę z nogą czy bez nogi...



— Aż tak źle? Gdy będę wychodził z lazaretu, spróbuję się czegoś dowiedzieć, wrócę tu, żeby pana uspokoić. A wie pan, wczoraj znów przeżyliśmy wielki nalot na Murmańsk. Nad miastem snują się jeszcze dymy pożarów. Jak tak dalej pójdzie, zostaną same gruzy i zgliszcza... Bomby spadły także w rejonie portu, a nawet stoczni. Niewiele brakowało, żeby i nam się coś dostało. Za to ten holownik...

— Jaki holownik? — wykrzyknął niemal Ordon, aż zwróciły się w ich kierunku głowy innych rannych.

— Niezręcznie jakoś idzie mi dziś ta rozmowa z panem. Nie powinienem był o tym mówić. Zapewne zżył się pan z holownikiem załogą...

— „Gajdar”?

— Tak. Bomba trafiła w dno basenu, obok nabrzeża, ale detonacja na dnie rozerwała im blachy kadłuba. Powtórzyła się historia jak z „Kamerunem”. Poszli pod wodę...

— A załoga? A Morozowa?

— Wyszła z tego cało i chyba część załogi także. Ratowali ich stocznioowcy i nasi chłopcy z „Kamerunu”. Przedwczoraj oni ratowali nas, wczoraj my ich. Jak to na wojnie...

— Zginął ktoś?

— Nie jestem tego zupełnie pewny, panie Ordon. Wiem tylko, że Morozowa już dziś rano szturmowała w stoczni, aby wyciągnąć holownik na powierzchnię.

Tej nocy Ordon nie mógł usnąć. Dopiero nad ranem zapadł w ciężki sen, pełen koszmarów. Gdy otworzył oczy, krążownik już płynął, a wibrację kadłuba odczuwało się nawet w hamakach i kojach lazaretu.

Dopiero tego dnia zbadało go dwóch brytyjskich lekarzy. Jeden wyrażał głośno swoją dezaprobatę wobec administracji, która zapakowała Ordo-na na okręt wojenny. Wzięto go bowiem za kogoś z „Garlanda” lub „Ja-

strzębia", sporo polskich marynarzy z okrętów wojennych leżało wówczas w szpitalach Murmańska i Archangielska. Drugi powód do utyskiwań wynikał ze stanu zdrowia Orдона. Zdaniem jednego z lekarzy nie wolno było „tego człowieka” brać na pokład przed operacją na lądzie przed okresem rekonwalescencji. Było jednak już za późno na zmianę decyzji.

Operowano Orдона, gdy krążownik zatrzymał się u wyjścia z zatoki, w czasie formowania konwoju. Oficer wrócił do przytomności po narkozie, kiedy byli już daleko w morzu. Sanitariusz, młody chłopak z Edynburga, pomógł mu wypić kilka łyków wody, po czym — widocznie uważając, że do jego obowiązków należy podnoszenie na duchu rannych marynarzy — wyraził mu swoje współczucie.

— Niech się pan nie przejmuj, sir...

Wziął mnie za oficera z ich floty, pomyślał Ordon. W głowie huczało mu jeszcze od morfiny lub chloroformu. Nie wiedział, co spowodowało ten stan oszołomienia, w jaki go wprowadzono.

— Z nogą lub bez — tokował dalej dobrodusznie nastawiony sanitariusz — życie potrafi i tak być piękne, sir... Amputacja udała się znakomicie. Zresztą nasz pierwszy chirurg nie uznaje innego leczenia. Tu nie szpital. Nauczy się pan szybko chodzić o kulach, a potem sprawią panu taką protezę, że nikt nawet nie pozna. A żona...

— Gdzie jesteśmy? — spytał, aby przerwać potok słów sanitariusza.

— Nie orientuję się dobrze, sir, ale obiecują nam, że już za kilka dni ujrzymy brzegi Szkocji. Płynie ogromny konwój. Niemcy jakoś nie dają o sobie znać. Kto wie, może nie opłaca im się atakować konwojów wracających z Murmańska? A jeżeli spróbują, dostaną nauczkę. Jak się pan czuje, sir?

— Zostaw mi wodę.

— Jutro poczuje się pan lepiej. Taka operacja to po prostu zabieg. Gorzej z tymi, co dostali w brzuch lub głowę. Albo ci z oparzeniami. Niech pan niebu dziękuje, że tylko tyle, sir... A w ogóle trzeba wierzyć w życie.

— Kto ci to powiedział?

— Matka, sir...

— I wierzysz w życie?

— Wierzę.

Konwój o oznakowaniu QP, jak określano wszystkie karawany powracające z Murmańska, rozciągnął się na długości wielu mil. Ubezpieczał go cały zespół niszczycieli, korwet i trałowców. Dwa krążowniki płynęły w ariergardzie, zamykając ten pochód. Pogoda była ładna, wiatr w porywach ostry, ale fala nieduża. Koło południa wyszło nawet słońce.

## SPIS TREŚCI

Część I — Na wschód, od Wyspy Niedźwiedziej

Część II — Płonąca Arktyka

Część III — Holownik „Gajdar”

Część IV — Kraina reniferów

*Pięć tysięcy osiemset sześćdziesiąta szósta publikacja*

*Wydawnictwa MON*

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1976 r.

Wydanie I

Nakład 10.000+350 egz.

Objętość: 6,63 ark. wyd., 6,75 ark. druk.

Papier druk. mat. IV kl.f 63 g format 76X90 z Fabryki Celulozy i Papieru im. J. Dąbrowskiego w Klu-  
czach. Oddano do składu 18.06.76 r.

Druk ukończono w listopadzie 1976 r. w Wojskowych Zakładach Graficznych w W-wie.

Zam. nr 619 z dnia 1.07.1976 r.

Cena zł 12.—